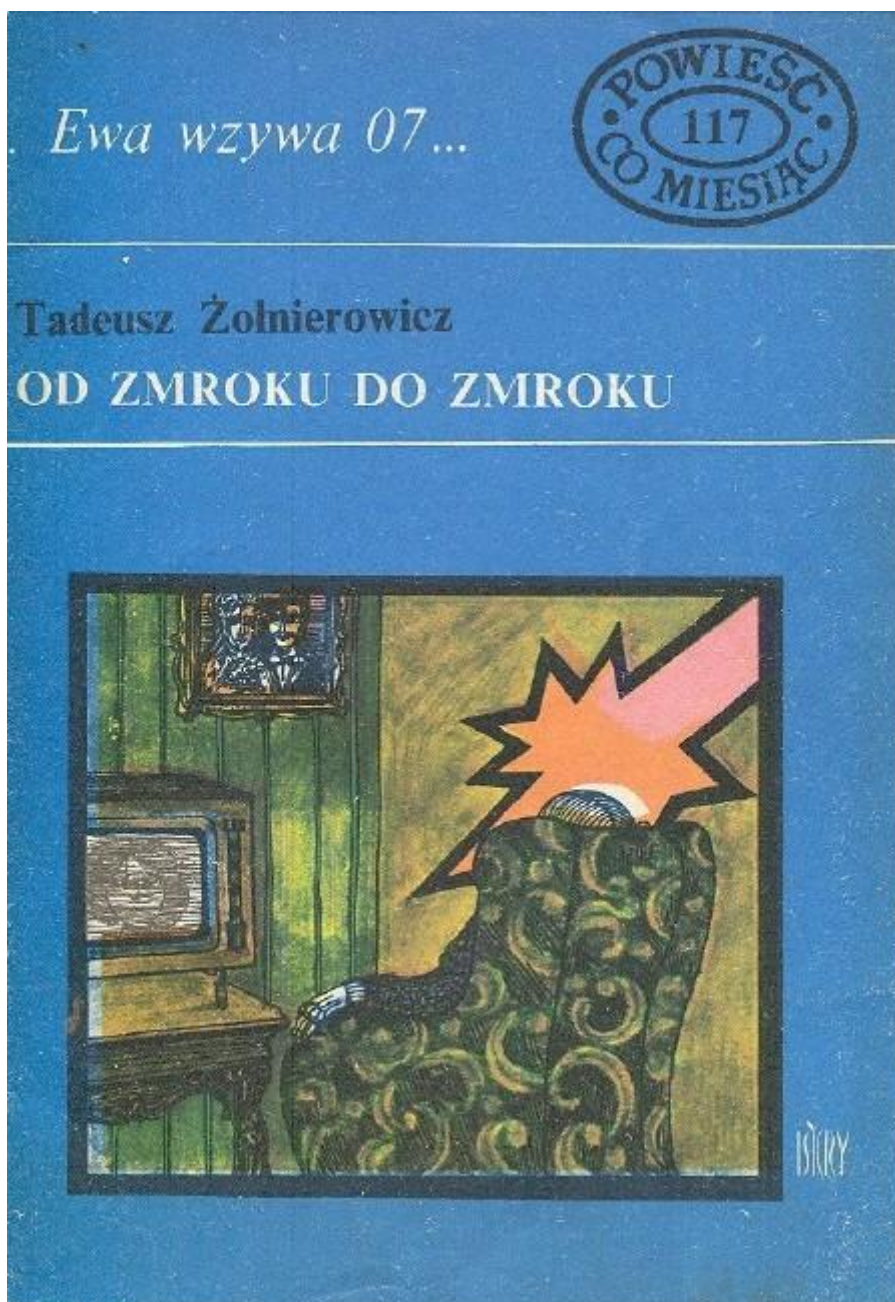


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Tadeusz Żołnierowicz

Od zmroku do zmroku



ROZDZIAŁ 1

Mrok już się przetaił, ale słońca jeszcze nie było. Tylko blask szarzejącego nieba przeświecał przez firanki. Otworzył oczy wprost na to światło. Już się przyzwyczyił do bezsennych świtów. Nie tak jak niegdyś, kiedy matka musiała go ściągać gwałtem z łóżka. Z kuchni zapachniało kawą — jak dawniej. .Nareszcie słońce... Okno umieszczone niziutko, o pół metra mul chodnikiem. Na drugiej stronie ulicy tkwił tylko mały koślawy płotek, za nim zaś rachityczna jabłoń, kilka suchych już krzewów malin i małe kolorowe, liście porzeczek.

Złowił uchem szelest fartucha. Matka właśnie zdjęła kawę z piecyka.

— Śniadanie.

Zwłókł się z pościeli niechętnie. Kawa pachniała w całym mieszkaniu. Dotknął łąpczywie ustami kubka, płyn był gorący, sparzył się.

— Podmuchaj.

Przypomniał sobie, że mówiła tak zawsze. Odkąd pamięta.

— Co dziś robisz?

Wzruszył ramionami. Nie wiedział. Pójdzie rozejrzeć się za robotą. Spojrzała na niego podejrzliwie. Mówił to już od kilkunastu dni, od chwili kiedy zapukał do jej drzwi po blisko dwóch latach nieobecności... Niestety, o dobrą robotę nic jest łatwo, a na byle jaka nie polecą. W końcu ma za sobą szkołę, wyuczył się fachu i nikt mu nie wciśnie do ręki łopaty...

Westchnęła. Żeby żył jego ojciec... Nie była kobietą sentymentalną, wiedziała jednak swoje — syn musi czuć na sobie męską rękę.

Dopijał kawę. zjadł dwie pajdy chleba, trzecią odsunął. Nie był głodny. Wstał, włożył marynarkę, ściągnął pasek na spodniach.

Bez słowa odniosła naczynia do kuchni. Nie spóźnij się na obiad...

Nie spóźni się, dlaczego ma się spóźnić. Pójdzie do znajomka, który mu obiecał zajęcie, a potem wróci. Za dwie — trzy godziny. Nie dłużej.

Ulica była jeszcze pusta. Wcześniej. Minał przecznice jedną, drugą, potem placyk. Spojrzał, na siedzących na ławce dwóch emerytów,

Jakiś dzieciak strzelił piłką. Wysoko. Potoczyła się ciężko pod jego nogi. Kopnął. trafiła w ławkę i rykoszetem uderzyła w drzewo tuż przy emerytach.

Łobuz!

Nawet się nie odwrócił. Wypoczywają sobie. Nie mają trosk. A on?

Skręcił w uliczkę i zaraz znalazł się pod kioskiem z piwem. Otaczał go już wianuszek mężczyzn. Nie było jeszcze ósmej. Musieli się spieszyć. Przed niektórymi stały po dwie — trzy butelki. Dopcha! się pod okienko.

— Ile?

Poprosił o jedno. Wszedł z tłoku, oparł się o ścianę kiosku, popatrzył leniwie w słońce. Grzało coraz mocniej.

— Odstaw pan tę butelkę.

Odwrócił się. To nie do niego. O trzy kroki dalej stał siwy mężczyzna i trzymał otwór butelki przy ustach ośmiolatka.

— Chce mu się pić.

Malec energicznie potrząsnął głową.

— Odstaw pan. To nie napój dla brzdąca. Ojciec nasrożył się.

— Pana interes? Dopijał pośpiesznie piwo... Był zły, trzęsły mu się ręce. Jakiś dziewiętnastolatek odstawiając trzecią z kolei pustą butelkę pokiwał mu na odchodne głową.

— Jaki ojciec, taki syn...

Chciał się roześmiać. Dziwaczne grono pedagogów. Ktoś z tyłu klepnął go po ramieniu. Odwrócił się leniwie.

— Czego?

— Mirek?

— Tolek?

Nic widzieli się od lat.

— Co robisz?

Wskazał ręką na butelkę.

— W ogóle, co robisz?

Wzruszył ramionami. A co ma robić? Żyje. Z dnia na dzień. Nic tak dobrze, ale i niezbyt ile.

Nic bardzo chciał wtajemniczać kompana ze szkolnej ławy w swoje położenie. Jakoś się ma...

— Skoczmy na jednego?

Trochę się skrzywił. Nie śmierdział groszem. Ale pójdzie.

— Nie bój się, ja płacę — Tolek zupełnie się nie zmienił. Pyszałek lubiący się pokazać.

Knajpa była za rogiem. Pusta jeszcze o tej porze, jeśli nie liczyć starszego pana siedzącego w kącie, który zalewał chyba robaka.

Usiedli przy oknie. Musieli jednak trochę poczekać na kelnerkę. Przyszła wreszcie.

— Co podać?

— Jasna.

— Piwa nie prowadzimy.

— Jasną wódkę. Dwie pięćdziesiątki — zaśmiał się z własnego żartu Tolek.

. — Dwa śledzie.

— Nie ma.

— Ogórek.

— Wyszedł.

— Na długo? Nie rozumiała.

— Może być ryba w galarecie, zimny schab albo kanapki.

Przystali na dwie kanapki. Wypili przyniesiony alkohol.

— Jeszcze?

Mirek potrząsnął przecząco głową. Wystarczy.

— Nie bój się, ja płacę.

Po następnym kieliszku poczuli się różnie. Tolek szturchnął kolegę łokciem w bok i wskazał wzrokiem starszego pana.

— Widzisz go?

Odpowiedział, że widzi, ale co z tego?

— Żona go opuściła.

Nie zainteresowała go ta informacja.

— Frajerze. Na zawsze. Jest wdowcem. Wczoraj pochował żonę. Teraz pije. Ze zgryzoty. Jest w ciężkiej żałobie...

Wytoczyli się zza stolika.

— Uszanowanie. Poznaje mnie pan? Tolek.

Wyciągnięta ręka zawisała w powietrzu. Wdowiec spojrzał na niego mętnie. Musiał już dużo wypić.

— A to mój kolega, Mirek — nie dawał za wygraną Tolek — możemy się przysiąc?

Stary bezwładnym ruchem ręki zaprosił ich do stolika.

— Wypijemy?

Propozycja wyszła od Tplka, ale wódkę zamówił wdowiec. Trzy pięćdziesiątki. I jeszcze raz po trzy. Stary już prawie nie pił. jego dolna warga zwisała smętnie.

— Idziemy — dźwignął się ciężko z krzesła.

— Dokąd?

Zrobił znowu ruch ręką.

— Do pana?

Skinął głową. Rozczulił się nagle. Chwiał się na nogach. Jest sam. Nie ma już nikogo. Sam. Żona odeszła. Pochował ją wczoraj, taka była, taka była... Żona. Przeżyli ze sobą ponad trzydzieści lat. Czy to rozumieją?

Okazali gotowość zrozumienia. Tym bardziej że wdowiec sięgnął do kieszeni. Oni są jego gośćmi. Wyjął portfel, zaszeleścił banknotami. Miał ich spory plik. Mirek złowił wzrokiem przeciągle spojrzenie Tolka. Widać było, że miał wielką chęć na te pieniądze.

— A ty nie? - powiedział szeptem, jakby odgadując, myśli kolegi.

Machnął w odpowiedzi ręką. Może i tak, ale przecież za parę papierków starego dziadygi nie pójdzie znów kiblować. Na kilku długich lat., Wzdrygnął się na samo wspomnienie tych czterech ścian i zakratowanego nieba. Splunął za siebie zabobonnie.

Wdowiec już trzasnął drzwiami. Jego kieszeń kryła obły kształt butelki. Smugi słońca prześwietlały kipiące od zieleni drzewa.

— Jest pan sam? — zapytał Tolek wdowca. Ten kiwnął głową.

— Jak palec. Odkąd pochowałem żonę. Miałbym syna takiego jak wy — rozczulił się nagle — ale go zabito...

— Ciachnął go ktoś? — zainteresował się Tolek. '

Wdowiec sięgnął rękawem do niewidocznej Izy.

— Skądże! Wyskoczył hulajnogą na ulicę. Jechał jakiś drań, trzepnął go błotnikiem. Chłopak zginął na miejscu, a tamtego posadzili na półtora roku. Siedział zaś tylko dziesięć miesięcy. Teraz go widuję, jak roz-piera się w szoferce. Drań!

Budynek, przed którym stanęli, nie należał do komfortowych; tynk sypał się dużymi płatami, a na drugim piętrze przeświecały już gołe cegły.

— Windujemy się na górę, chłopcy — powiedział wdowiec — mieszkam na poddaszu.

Zaczął sapać już na pierwszym piętrze. Wzięli go więc pod rękę. Przed drzwiami stał długą chwilę, ła-piąc oddech. W końcu zgrzytnął kluczem. Powiało stęchlizną.

Trupim odorem — dodał w myśli Mirosław. Coś mu ten ohydny zapach przypomniał... Połknął z od-razą ślinę.

Pokój był jednak czyściutki, schludny. Nawet łóżko było przykryte wzorzystą kapą.

— To jeszcze ręka żony — uśmiechnął się blado wdowiec — zmarła nagle. Kiedy wyszedłem rano do pracy, krzątała się w kuchni. Po południu już leżała tam... — wskazał palcem kąt przy oknie - widocznie chciała uchylić je, złapać trochę powietrza. Atak serca. Zawał. — Nie mógł uściślić przyczyny zgonu.

Zresztą nie było to ważne. Nie żyła już... — Wyciągnął z kieszeni butelkę, postawił ją na stół. Stuknęła głucho. Rozejrzył się półprzytomnie po pokoju.

— Kieliszki są chyba w kuchni.

Znikł za drzwiami i długo nie wracał. Wśliznął się tam za nim Tolek. Kiedy po kilkunastu sekundach wrócił, miał twarz skrzywioną w paskudnym uśmiechu.

— Płacze. Łka. Spojrzył na rondle i zaraz mu się przypomniała żona. Heca.

Odwrócił się do Tolka plecami. Ciągłe mu huczało w głowie. Wypił chyba o dwa kieliszki za dużo. Do tego ten upał. Odzwyczaił się od alkoholu.

Wdowiec już doszedł do siebie. Brzęknął szklaneczkami. Kieliszki gdzieś się zapodziały. Zabułgotała wlewana hojnie wódka. Wypili na stojąco, nie odrywając ust od brzegów szklanek.

Nagle zaciemnienie, zapulsowały skronie.

— Jeszcze po jednym? — spojrzał na niego uważnie Tolek.

Mirek skrzywił się. Nie teraz, potem. Do licha, ledwo może stać na nogach, Usiadł z rozmachem na łóżko.

— Nie tam! — krzyknął fundator — kapa!

Rozejrzył się półprzytomnie po pokoju. Kapa? — Łóżko. Słała je jego żona... Mirek odchylił głowę do tyłu i wybuchnął hałaśliwym śmiechem. Wdowiec zbaraniał. Polem krew napłynęła mu do twarzy.

— Czemu rżysz? — gruba żyła zadrgała na szyi — czemu szczekasz?!

Oprzytomniał. — Tylko nie grubym słowem, dziadzie! Robię, co chcę. I wiesz, gdzie mam twoją kapę?... Tolek w ostatniej chwili złapał za ramiona starego. Mocowali się ze sobą w milczeniu. W końcu wdowiec zwiotczał, pochylił się i zaczął charczeć jak człowiek ogarnięty atakiem astmy.

— Zostaw go.

Tolek odstąpił o krok i wtedy stary runął twarzą do przodu. W ostatniej chwili zaczepił rękami o pościel, ściągnął ją z łóżka razem z kapą. Głuchy łoskot. Znieruchomiał.

— Pijany jak bela... — skonstatował obojętnie Tolek. Szturchnął go nogą. Wdowiec leżał bez ruchu.

— No to dokończmy uczty — Tolek sięgnął po butelkę. Rozeszła się znowu ostra woń alkoholu. Mirosław przesunął bliżej krzesło. jego noga zaczepiła o nocną szafkę, coś lekko zabrzęczało. Zobaczył przez ułamek sekundy złoty krążek, który toczył się do jego nóg. Obrączka. Podniósł ją do oka. Była gruba, z niestartymi jeszcze inicjałami.

— Weź sobie na pamiętkę — poradził zyczliwie Tolek - staremu i tak na nic się już nie przyda. Ta, która ją nosiła, odeszła... Ciekawe tylko — zmarszczył czoło — czy zdjął ją z palca zmarłej? Pazerny...

Mirosław przesunął złotem po spodniach, jeszcze raz spojrzał na błysk metalu i wrzucił obrączkę do kieszeni marynarki. . — Na zdrowie — podniósł szklanekę do góry Tolek — żebyśmy jeszcze raz tak młodo się spotkali...

Wypił duszkiem wódkę. Słoneczny blask przygasł już za oknami. Z głębi ulicy wychyliło się czarne ramię konara i sterczało nieruchomo, przekreślając krzyże okien.

W pewnym momencie, nie wiedział jak, znalazł się na schodach. Tolek gdzieś się zapodział. Krzyknął nawet na niego. Nie odezwał się jednak. Wtedy machnął ręką i pchnął wyjściowe drzwi. Zaraz skoczył mu do nóg mały, brudny pudel. Rozszczękał się piskliwie. Usiłował go kopnąć. Bez skutku. Psiak odskoczył i odsłonił białe szpileczki zębów. Wściekł się wtedy. Ruszył na niego z impetem. Znowu nie trafił.

— Zbój!

To z parterowego okna. Tkwiła tam zaondulowana głowa właścicielki psa. Pogroził jej pięścią. Do diabła ze starą... Stąpając ostrożnie powędrował w stronę ulicy. Tańczył przed nim czarny asfalt, po którym z wizgiem motoru przejechało auto. Gorący podmuch odrzucił go aż na chodnik.

— Cholera...

Mogło się to odnosić do kierowcy szalejącego na jezdni, ale także i do sytuacji, w której się sam znalazł. Istny cyrk! Taki pijany jeszcze nie był...

Na progu mieszkania zaraz natknął się na matkę. Siedziała na taborecie, przy oknie. Pierwszy zmrok zatarł surowy w tej chwili wyraz jej twarzy. Nie powiedziała nic, kiedy czepiając się rękami sprzętów dotarł do kanapy, zwałił się na nią i niemal natychmiast zachrapał. Matka wstała z ciężkim westchnieniem, zdjęła mu buty i ściągnęła marynarkę. Miała tylko jego jednego. Usiadła znowu na stoiku, jeszcze mniejsza, jeszcze starsza.

ROZDZIAŁ 2

1

Dzień. Znowu dzień. Biały. Jak wczoraj. Świejące słońce. Aż bołą oczy...

Przymknął powieki. W głowie łomot. Ból. Chyba za dużo wypił. Gdzie? U tego starego? Przypomniał sobie zboląłego wdowca. Też chyba czuje się kiepsko. Był ululany już wówczas, kiedy się spotkali. Po stypie. Stracił żonę.

Ostrożnie wysunął spod kołdry nogi. Chłód podłogi pod stopami. Co za ulga w tym upale. Która godzina? Spojrzał na budzik. Jedenasta? Niemożliwe? A więc spał ze dwanaście godzin. Rekord! Zajrzał do kuchni. Śniadanie stało na stole. Chleb, masło, trzy plasterki kielbasy i kawa w fajansowym garnku. Poczul apetyt. Przynął krzesło i zaczął smarować kromkę chleba. Przerwał na chwilę, bo zdawało mu się, że ktoś zastukał do drzwi. Wstrzymał oddech. Tak. Na pewno. Teraz to stukanie usłyszał wyraźnie. Drzwi są zamknięte. Matka zawsze tak robiła wychodząc. Nawet wówczas, kiedy go zostawiała w domu. Podeszedł bliżej progu. Usłyszał głosy. Jakiś mężczyzna rozmawiał z sąsiadką. O nim? Był o tym niemal pewien. Jeśli obcy, to może mieć interes tylko do niego. Ale on nie chce już nikogo widzieć. Dość ma obcych...

Uważa!, żeby nie skrzypnęła podłoga. Wrócił znowu do kuchni. Tamten trzasnął drzwiami. Odszedł.

Chleb mu już nie smakował. Masło roztopiło się, kielbasa wyglądała, jakby była powleczone szklistą mazią. Wypił tylko kawę. Zasmakowała mu. Nalał drugi kubek. Potem wrócił do pokoju.

Ulica ziała upałem. Brzegiem chodnika szła mała dziewczynka, stawiając drobniutkie kroczki. Jej myślenie ogonki z tyłu głowy majtały się niesforne. Zagrzała ciężarówka. Kłęb kurzu na mgnienie oka zaświeci! w słońcu drobnymi cętkami złota.

Wtedy przypomniał sobie zdobycz. Sięgnął ręką do kieszeni marynarki. W kieszeni tkwiła złota obrączka. Aż czerwona od starości. Czarne smugi w wyżłobionych inicjałach: *T. W. Czerwiec 1952 r.* Szmata czasu. Zważył obrączkę w dłoni. Ma sporo gramów. Przeliczył na pieniądze. Dostałby parę tysięcy...

I wtedy coś go zamroziło. Znowu! A jeśli stary wytrzeźwieje i pogna zaraz na komisariat? Za to byle co trafi znowu przed pulpit z bordowym sukniem.

Westchnął głęboko. Nikt się nie będzie z nim patyczkował. Ten stary może jednak nie zauważył braku obrączki. Był pijany. Czy mu to zresztą w głowie po utracie żony...

Odszedł od stołu. W zamku zachrobotał klucz. Matka. Była jeszcze bardziej zmęczona niż wczoraj.

— Zjadłeś?

Kiwnął głową. Ale tylko jedną kromkę. Nie jest głodny... Machnęła ręką. Z siatki wyjęła główkę kapusty, ziemniaki, mąkę, cztery czerwone jabłka.

— Chcesz?

Sięgnął ręką po jabłko. Było cierpkie i twarde. Dopiero zdjęte z drzewa, mocno więc pachniało.

— Co z twoją pracą?

Przełknął kęs. Myśli o niej. Tylko to nie tak łatwo. Kiedy go wtedy wzięli do kicia, już ją prawie miał. Potem jednak dostał za dużo. Dwa lata za puknięcie pijaka w czoło i zabranie mu zegarka? No i teraz trzeba zacząć wszystko od nowa... Ale to niełatwe.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć mu coś gorzkiego, ale nic wyrzekła słowa. Za drzwiami ktoś zaszurał nogami, rozległo się pukanie..

— Niech mama otworzy...

Cofnął się do pokoju. Spojrzał przez szczelinę. To weszła sąsiadka.

— Syn w domu?

Zdrętwiał. Jakby z oddali usłyszał głos matki. I ją ogarnął niepokój. Zaprzeczyła.

— Szkoda. Miał do niego interes milicjant. Zjadliwa! „Miał do niego interes milicjant!”

Dobra sobie.

— Czego chciał?

Matka zapytała sucho, zwiezie. Tego nauczyło ją życie.

Sąsiadka zawahała się.

— Niewiele mówił. Coś jednak wspominał o libacji u pana Michała...

— Jakiego Michała?

— Nie pamięta pani? U tego, któremu zmarła kilka dni temu żona. Syn był u niego wczoraj. No i coś staremu skradziono...

Pauza.

— Jakieś pieniądze, obrączkę.

Zacisnął pięści. Pieniądze? Jakie pieniądze? Przecież wziął, zresztą przypadkiem, tylko tę obrączkę. Może by ją nawet oddał. Na pewno by to zrobił. Ale jakie pieniądze?

Zrobiło mu się gorąco. Jak z tego wybrnie?

Począł, aż znowu stuknęły drzwi. Matka odczekała chwilę. Zmarszczki na jej czole jeszcze bardziej się pogłębiły.

— Słyszałeś? Odmruknął że tak.

— I co powiesz na to? Odwrócił gwałtownie twarz do okna. Łgarstwo! Nie brał żadnych pieniędzy, chociaż widział je w portfelu tego człowieka.

— Gdzie?

— W knajpie. Płacił za siebie i za nas. Potem byliśmy u niego.

— Z kim? Zawahał się.

— Z Totkiem.

— Z Radwańskim? Skinął głową.

— Też ma dwie lewe ręce i pusta głowę... Zachnął się. To do niego się nie odnosi. To tylko takt głupi przypadek.

— Przypadki nie chodzą po ludziach, sam je znajdujesz.

Przemilczał tę uwagę. Tamto było, przeszło. Teraz nie da się zrobić. Za byle obrączkę...

— A więc coś wzięłeś... Skinął ponuro głową. Właśnie tę obrączkę.

— Pokaż.

Niechętnie wyłuskał ją z kieszeni. Wzięła obrączkę w rękę, obejrzała uważnie.

— Musisz to zaraz zanieść panu Michałowi. Wpatrzył się w nią pustym wzrokiem.

— Ja?

— Ty. Albo może lepiej idź od razu na milicję... Nie będą cię później szarpać...

— Nie będą?! — zaśmiał się. — Co też mama mówi? Dopiero się zacznie...

W zatroskaniu podparła głowę dłońmi.

— No to co? Zaczekasz, aż milicja przyjdzie po ciebie?

Nie odpowiedział. Byłby głupi. Da nogę. Do diabła, ma już tego wszystkiego dość. Wyjedzie. To miejsce jest dla niego niefortowne. Gdzie indziej ze sobą coś zrobi. Może nawet znajdzie jakieś zajęcie...

Popatrzyła na niego bez słowa. Mówi jak w malignie... Przecież meldunek w milicji pozostanie meldunkiem. Będą go szukać. I znajdą. Nie ma co się trudzić. Nie dziś, to jutro.

— Posłuchaj mnie — podeszła do niego. Na matczynej gest zniecierpliwienia pokręcił głową, że ona tego nie rozumie. Lepiej będzie, kiedy wyjedzie. Musi zerwać ze wszystkim i wszystkimi. Teraz albo nigdy... Milicja nie będzie za nim ganiać o takie głupstwo.

— A obrączka?

Zacisnął rękę. Zabierze ją ze sobą. Jeśli przyzna się, że ją zabrał pijanemu, wmówią mu również, że połakomił się na pieniądze. A przecież nie on.

Odwrócił się do szafy, wziął dwie koszule, zmianę bielizny. Wszystko zmieściło się bez trudu w teczce. Tej dawnej, z którą jeszcze kilka lat temu chodził do szkoły. Włożył marynarkę, nacisnął klamkę u drzwi wejściowych. Za sobą posłyszał chlipnięcie matki. Otworzył ostrożnie drzwi. Klatka schodowa była pusta. Może już iść.

ROZDZIAŁ 3

Pociąg odchodził za pół godziny. Do Międzyzdrojów. W drodze na dworzec przypomniał sobie o tej dziewczynie. Miał siedemnaście lał, kiedy ją poznał jednego lata pod namiotem. Na Mazurach. Skrzyknęli się wtedy całą paczką. Zobaczył ją na moło w Mikołajkach. Przypadli sobie do gustu.

Ile teraz może mieć lat? Dziewiętnaście? Chyba tak. Mieszkała na stałe w Międzyzdrojach. Wówczas nawet się zdziwił — po co jeździć na Mazury, skoro pod nosem ma tyle wody"? Coś odpowiedziała, nie pamięta co. Nie zdążył już jej odwiedzić. Teraz postanowił to zrobić. Przeczeka tam kilka tygodni. Sierpień. Najlepszy czas nad morzem.

Spojrzał na stacyjny zegar. Jeszcze dziewięć minut. Instynktownie cofnął się za kiosk „Ruchu”. W drzwiach dworca pokazali się milicjanci. Dwaj. Szli bez pośpiechu w stronę peronu.

Jeszcze pięć minut. Starczyło mu zaledwie na bilet do Szczecina. Stamtąd miał jeszcze chyba ze sto kilometrów do wczasowiska. Za co dojedzie?

Przetrzęsnał kieszenie. Piec złotych. I jeszcze piątka. Razem dziesięć. Akurat na tramwaj i szklanek herbaty. Ale miał przecież tę obrączkę. Chyba warta sporo. Pomyśli w Szczecinie, co z nią zrobić. W jakiś sposób musi się dostać do Międzyzdrojów...

Na miejscu okazało się jednak, że na rogatkach miasta można się dość łatwo zabrać autostopem. Wprawdzie nie miał odpowiedniej książeczki, by legitymować się nią kierowcom, ale trafił w końcu na uczynnego, który zaprosił go bez słowa do wnętrza szoferki. Prowadził wóz chłodnię do Świnoujścia i należał do ludzi wielce rozmownych, w przeciwieństwie do Mirka Karolaka, który sponurzał zupełnie, odkąd opuścił rodzinny dom. Miał zresztą o czym rozmyślać. Ta afera z obrączką zupełnie mu się nie podobała. Pieniądze, wykoncypował to sobie, wziął na pewno Tolek. Stary miał je jeszcze wtedy, kiedy opuszczali knajpę. Zresztą, Tolek został w domu tego Michała...

Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia. Paskudnie wpadł. Meldunek, jak sądził, poszkodowany złożył tylko na niego. O Tolku zapomniał? Może i tak...

Pokazały się pierwsze domy uzdrowiska. Wygrzebał ostatnie pięć złotych, które zaoszczędził na herbacie, i wcisnął je do ręki kierowcy. Wsiadł z szoferki i rozejrzał się bezradnie. Był po raz pierwszy w tej okolicy. Po kwadransie dotarł z krzyżówki szosy do Międzyzdrojów. Zastał tu ciżbę turystów oblegających promenadę nadmorską.

Ulica Cicha? Ktoś wskazał bez namysłu ulicę biegnącą prostopadle do bulwaru. W istocie nie była zbyt głośna, chociaż i na niej defilowały tłumy nagusów. Upał nie zelżał, niebo tu również ziało ogniem jak w Toruniu,

Dotarł w końcu do posesji zamieszkaanej przez Marylę. We frontowym domku, do drzwi którego zapukał, wskazano mu bez słowa oficynę położoną w głębi podwórza. Była parterowa, z jednym oknem, tkwiącym niziutko rud ziemią. Zamiast jednak dziewczyny pojawiła się kobieta w średnim wieku, w zatłuszczonym fartuchu, z dwoma podbródkami spływającymi aż na pierś.

— Czego?

Wymamrotał, że chce widzieć się z Marylą. Nie zrozumiała go dobrze.

— Wszystkie zajęte. Widzi pan... — uchyliła trochę drzwi, odsłaniając pokój zapchany łózkami. Przeklekał, aż się wygada i powtórzył, że chce tylko zobaczyć się z Marylą.

Pojęła wreszcie. Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. Nie odpowiadał jakoś jej gustowi, potraktowała go więc oschle, bezosobowo.

— Niech przyjdzie później. Córka zajęta. Spojrzał na nią niemal błagalnie.

— Zamienię z nią tylko dwa słowa. Przyjechałem aż z Torunia... ,

Ugryzł się w język. Po co zdradzać przed babą takie szczegóły. Złagodniała trochę.

— Niech pan poczeka — powiedziała — córka zaraz wróci.

Obok stała ławeczka. Usiadł na niej, wystawił twarz do słońca. Poczuł, jak go morzy sen. Zapadł w lekką gorącą mgłę.

ROZDZIAŁ 4

— Pani Karolakowa?

Skinęła głową, otarła mokre od potu ręce w suknię.

Milicjant schylił się pod niską futryną drzwi. Zdjął czapkę.

— Niech pan usiądzie.

Znała go. Był dzielnicowym na tym przedmieściu. Zresztą ostatnio parę razy trafiał już do niej. Po powrocie syna...

— I co, znowu syn narozrabiał? Westchnęła bez słowa.

— Mamy meldunek, że zabrał komuś pieniądze. Duże pieniądze. Blisko 20 tysięcy. I złotą obrączkę.

Już o tym wiedziała. Ale te pieniądze. Może pomyłka?

Rozejrzył się po mieszkaniu. Zignorował jej pytanie. Matki zawsze tak myślą.

— Gdzie jest?

Zająknęła się. Wyszedł. Rano. I dotąd nie wrócił.

— A może po prostu uciekł? Poczul pismo nosem? Niech pani tego nie ukrywa.

Potarła nerwowo palce. Nie wie, po prostu nie wie. Wróciła do domu niedawno. Może go w celi aż tak odmienili, że teraz jest już nie do poznania. Nawet dla matki, która go wychowywała od takiego...

Rozplakała się bezgłośnie. Milicjant popatrzył na tą siwą kobietę ze współczuciem.

— Proszę się uspokoić. Nie pani odpowiada za to, co się stało. Zabrakło męskiej ręki...

Wytarła łzy. Chyba racja. Od wielu lat męczy się już z tym chłopakiem. Gdyby mąż żył...

Funkcjonariusz pomyślał melancholijnie, że i to niewiele by pomogło... Zna przecież takie różne rodziny, gdzie jest i ojciec, i matka, a syn włóczy się po knajpach...

Pokiwał jednak z ubolewaniem głową.

— No to niech pani powie, gdzie jest Mirek... Nie wiedziała. Może przysiąc. Wziął swoją teczkę, włożył koszulę i zamknął za sobą drzwi. A dokąd pojechał. Róg raczej wiedzieć...

— Gdyby się zjawił — milicjant zresztą niezbyt w to wierzył — niech pofatyguje się do nas. Tu jest formalne wezwanie.

Podpisała je. Potem usiadła pod oknem i długo patrzyła na ulicę. Nie widziała jednak nic.

*

Ocknął się gwałtownie. Zobaczył przed sobą jakiegoś zagapionego malca, a za nim Marylę. Stała w furtce.

— Mirek?

Podniósł się ciężko z ławki. Prawie się nie zmieniła. Te same oczy, włosy. Tylko twarz trochę bardziej obrzmiała, jakby obca. Zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką. Przywitała się bez serdeczności. Ciągle wyglądała na zaskoczoną.

— Przyjechałem...

Zabrzmiało to jak skarga. Oczekiwał innego przyjęcia. Zapomniał, że to molo w Mikołajkach było ze trzy lata temu. Cała wieczność dla niego, kiedy liczył dni dzielące go od wyjścia z celi.

Usiadła na ławce i pociągnęła go za sobą.

— Co myślisz robić?

Oderwał wzrok od jej twarzy. Co myśli? Co zamierza? Przyjechał na kilka dni. Ma urlop. Sierpień. Słońce. Trochę popluszczę się w morzu...

Złapał się na tym, że mówi jak dziesięcioletek. Umilkł. Dziewczyna nie spostrzegła jednak w jego wypowiedzi niczego infantylnego. W istocie są wakacje, dużo słońca, morze wabi...

Rozejrzała się trochę bezradnie.

— U nas tłok. Masz już jakiś nocleg? Nic miał, ale skłamał na poczekaniu.

— Oczywiście. W domu koło promenady.

— Na wczasowisku?

Zaprzeczył. Prywatnie Jutro ją tam zaprowadzi. Patrząc na nią rozmyślał gorączkowo, jak wybrnie z tej sytuacji. Nie ma przecież grosza przy sobie! Uśmiechnął się jednak. Głupia sprawa. Ciągłe nie ma fartu. I tu, i tam...

— No to pójdę. Powstała sprężyscie.

— Przyjdź wieczorem. Będę przy molo. Tam jest dyskoteka.

Znowu uśmiechnął się. Bardzo się cieszy. Oczywiście przyjdzie.

Będąc za furką obejrzał się jeszcze. Weszła już do domu. Potem porwał go tłum. Po kilku minutach znalazł się w okolicy mola. Wtedy poczuł głód. Od rana nic nie jadł, zaschło mu też w gardle. Popatrzył na butelki oranżady stojące na półkach pobliskiej letniej kawiarenki.

Sięgnął do kieszeni. Ciągłe tkwiła tam obrączka. Zszedł po schodach na plażę rojną od ludzi. Wyglądał dziwnie w swoich spranych dżinsach i grubej flanelowej koszuli. Zdjął ją więc Przykucnął przy koszu, obok którego wygrzewało się małżeństwo w średnim wieku.

Wystawił twarz do słońca. Zagadnąć? Trochę się tego bał. Jak zareagują?

Przysunął się jeszcze bliżej do kosza.

— Przepraszam.

Błysk okularów nu czole mężczyzny w płóciennej czapce.

— Słucham?

Wyciągnął obrączkę. Zalśniła blado w słońcu.

— Znalazłem się w kłopotach — zająknął się.

— Niech pan pokaże — kobieta ocknęła się z odrętwienia. Już trzymała obrączkę w swoich rękach.

— Pan chce to sprzedać?

Skinął głową. Chce. Tak się złożyło...

— Ile?

Kobieta była bardziej rzeczowa od męża..No i bardziej łaśna na połyskujące w słońcu złoto. Zastanawiał się chwilę nad ceną. Nic umiał jej jednak podać. Ile to w końcu było warte?

— Używana — zamruczą! wreszcie spod płóciennego daszka mąż. — Tysiąc?

Uznał, że jest to dużo, ale nie chciał się od razu zgodzić. Stało na tysiącu i dwustu złotych. Wziął kilka banknotów nie licząc ich. Podziękował. Chciał być już jak najdalej od tych ludzi.

W kawiarence zamówił dwie butelki „Pepsi”, jedną wypił, drugą wziął ze sobą. W wąskiej uliczce trafił na jadalnię. Zamówił porcję kartofli, mielony kotlet, duże piwo. Poweselał. Przetrzył tak kilka dni. Teraz nocleg. Poszedł na ulicę Książąt Pomorskich podaną w ogłoszeniu naklejonym na słupie. Chatynka w ogrodzie.

— Cały pokój czy tylko miejsce? — zlustrowała go uważnym spojrzeniem gospodyni. Zgodził się na pokój. Tak będzie lepiej. Ma przecież dziewczynę...

Cena trochę go zaskoczyła: sto pięćdziesiąt złotych za dobę. Od ósmej do ósmej.

— Do tego kawa i sprzątanie — powiedziała gospodyni.

Zgodził się. Co miał zresztą zrobić. Zapłacił z góry za trzy noclegi. Czteryście pięćdziesiąt złotych. Zostało mu siedemset. I trochę drobnych.

Wreszcie mógł się jednak umyć i odpocząć. Chyba zasnął. Kiedy otworzył oczy szyby zasnuła już niebieska mgiełka wczesnego zmierzchu. Zerwał się na równe nogi. Maryla! Miała czekać pod dyskoteką. Ochlapał się wodą. w biegu włożył koszulę. Czekala. Miała na sobie szykowną sukienkę, drogie pantofelki. Poczul się przy niej jeszcze bardziej obco. Stwierdził nawet, że jest chyba za ładna...

Oszołomiony zszedł z nią pod moło, prosto do rozjarzonego kolorowymi światłami i huczącego kaskadniczną muzyką lokalu. Z tańczeniem też u niego nie było najlepiej. Na szczęście dziewczyna balansowała o metr przed nim, z rękami wdzięcznie uniesionymi do góry. Z każdym krokiem czuł się więc pewniej. A już zupełnie odzyskał humor, gdy na stoliku pojawiła się butelka wina. Za sto złotych. Westchnął. Potem dwie „Pepsi”, jakieś napoje. O północy dopiero opuścili lokal. Mieli nad sobą rozgwieżdżone niebo, niedalekie morze sennie uderzało o piaszczysty brzeg. Dziewczyna poczuła się rozmarzona. Zdjęła pantofle i pociągnęła go na plażę. Szli milcząc.

— Jak długo zostaniesz ze mną?

— Chciałbym jak najdłużej, ale...

— Co ale?

Wymamrotał, że wzywają go obowiązki. A zresztą jeszcze nie wie. Być może powczasuje sobie tydzień, dwa. Oczywiście wiedział, że to czyste łgarstwo. Za co? Tu za wszystko każą płacić, a on pobrękuje w kieszeniach tylko drobnymi..

— Kim jesteś?

Zebrał myśli. Wyuczył się dobrego fachu.

— Jakiego?

— Mechanik.

— Długo cię nie było - przytuliła się do jego ramienia.

Odpowiedział, że musiał odsłużyć wojsko. Był daleko stąd. W strażnicy WOP. W górach.

— Teraz będziesz już ze mną...

Pomyślał, że tak byłoby chyba najlepiej. Tylko że nie pracuje... Przed tą draką w ciemnej uliczce, po której kiblował, miał jeszcze wakacje. Potem siedział kilka dni w domu. Nie wiedział, co począć ze sobą. Trudno było się zebrać. No i znowu wpakował się w kabałę przez tę obrączkę...

Szli już w stronę śródmieścia. Mimo późnej pory na promenadzie ciągle było rojno. Niezbyt jednak dobrze czuł się w tym tłumie. Dziewczyna wysliznęła mu się z rąk przy furtce swego domu.

— Już noc...

Musnął suchymi wargami jej policzek, poczuł przez chwilę ciepłą dłoń dziewczyny w swojej ręce.

— Do jutra. Kiwnął głową.

Pozostał sam. Od morza zerwał się wiatr. Poszedł w stronę swojej kwatery promenadą, wśród szelestu liści. Konary zwisały nisko, tworzyły na ciemnym nieboskłonie gmatwaninę poplątanych linii. Zrobiło się chłodno, zapiął koszulę pod szyję.

Gospodyni jeszcze nie spała. W jej oknie świeciło się światło. Zanim położył się do łóżka sięgnął po portfel i skrupulatnie policzył pieniądze. Jeszcze dwa dni takiego szaleństwa i zostanie z pustymi kieszeniami... Odrzucił kołdrę i wsunął się prawie nago do łóżka. Długo nie mógł zasnąć, a potem sen miał niespokojny, pełen zwidów. Znajdował się znowu w rodzicielskim domu, widział ojca stojącego u okna, w jasny, słoneczny dzień...

Ktoś zapukał do drzwi. Skulił się instynktownie w pościeli.

To gospodyni skrzypnęła drzwiami i weszła do pokoju. Miała małą pomarszczoną twarz, i — zobaczył to dopiero teraz — bardzo jasne niebieskie oczy.

— Chce pan kawy? — zapytała.

Chciał. Byle gorącą. Trzymała już w ręce pełną filiżankę. Postawiła ją ostrożnie na stoliku, nie patrząc, po babsku, w stronę jego łóżka.

Wyskoczył ochoczo spod kołdry. Zalśnił jego tors. Gospodyni boczkiem wymanewrowała z pokoju.

— Jak pan wyjdzie, niech pan zostawi klucz, ' posprzątam.

Ubierał się bez pośpiechu. Włożył nową koszulę. Kiedy już tak stał w pełnej gali, spostrzegł paperek leżący na podłodze. By! mały, przybrudzony. Sięgnął po niego, rozprostował. Nic zawierał wicie, jakieś nazwisko, adres. Zamyślił się na chwilę. Skąd to ma? I wtedy przypomniał sobie swoje pierwsze godziny wolności. Kumpel z celi. Chyba Czesiek. Facet z ksywą, której już nie zapamiętał. Ulica. Zaciągnął go do knajpy. Trochę pogadali przy piwie. O tym i owym. Co teraz będzie robił? Nic bardzo wiedział. Ciągnęło go do domu. Wtedy Czesiek wyciągnął kartkę, nagryzmolił coś. Nadziana stara babka... Nie zrozumiał. „Głupiś”... powiedział wtedy Czesiek, „ma w domu o wiele rzeczy za dużo. W sam raz dla nas. Mieszka w Bydgoszczy. Starsza wiekiem. Jeszcze przed tamtym wyrokiem przymierzałem się do niej. Ale jakoś tak zeszło. Można więc teraz”... Nic mu wtedy nie odpowiedział. Nie bardzo miał zresztą ochotę. Bydgoszcz? Nawet nie zna dobrze tego miasta. Był wszystkiego ze dwa razy. Trochę szare, niezbyt ciekawe. Parę ulic wielkomijskich na krzyż...

„Nie o miasto chodzi — powiedział Czesiek — ale o tę babkę... Nie kapujesz? Ma złoto, pieniądze. Kiedyś jej mąż prowadził warsztat złotniczy. Po wojnie. Obłowił się, zanim nie zmarł. Babka już w latach, dla siebie tak dużo nie potrzebuje"...

Wykręcił się jednak jakoś od tej propozycji. Chce trochę spokoju. Matka czeka. Diabli wiedzą, po co tak powiedział, ale powiedział. Czesiek zamoczył usta w pianie wypełniającej kufel. Podsunął mu tę karteczkę. W pół godziny później się pożegnali.

Miał teraz ten świstek papieru przed sobą. Przeczytał nazwisko: Świrska Joanna, z Bydgoszczy. Jołowa pięć. Zmiał karteluszek, chciał wyrzucić. Jednak rozmyślił się, schował do kieszeni.

Kawę, która już wystygła, wypił w końcu duszkiem. Potem usiadł przy oknie i zapatrzył się bezmyślnie na znajdujący się opodal ogród, błyskające w słońcu inspekty i roztrzaskającego nawóz mężczyznę.

Za pięć dziesiąta. Wcześniej. Zje jeszcze gdzieś śniadanie, potem pójdzie na obiad. Z dziewczyną spotka się po południu. Ale przedtem skoczy na plażę. Obejrzał krytycznie swoje kąpielówki. Były stare, sprane. Nie szkodzi.

Nad morzem spędzał czas do trzynastej. Spiekło go słońce. Wypił butelkę „Pepsi”, zjadł porcję morskiczka. Potem stanął w kolejce po kufel piwa. Wystarczyło mu to za cały obiad. O drugiej po południu zjawił się przed drzwiami Maryli. Nic było jej jednak w domu. Zawrócił więc rozczarowany, wyszedł na ulicę. Obok niego z szelestem zatrzymał się samochód. Zagraniczny. Volvo. W głębi siedział łysy mężczyzna z żoną chyba i córką. Dziewczyna była w szortach i miała takie uda, że zaparło mu dech w piersiach. Szli właśnie przed nim. Starał się nie przyspieszać kroku. Na rogu wpadł niemal na Marylę. Nic była sama. Właśnie żegnała się z kimś. Nie okazał zazdrości, ale trochę go ta scena zabolęła, tak nie postępuje się na oczach swojego chłopaka.

— Kto to był? — musiał o to w końcu zapytać. Wykrzywiła lekceważąco usta,

— Taki jeden...

Już go jednak wcześniej zlustrował baczny wzrokiem — miał na sobie eleganckie farmery, z ramienia zwisał mu japoński tranzystor... Przełknął ślinę. Zaszło mu w gardle.

— Będiesz miała dzisiaj czas po południu?. Chwilę się zastanawiała.

— Wieczorem. Koło ósmej. I nie przychodź pod mój dom. Spotkamy się przy moło.

Spojrzał na nią bez słowa. Nie chce, żeby • przychodził do niej. Czemu?

Dotknął jej ręki. Uśmiechnęła się z roztargnieniem. Wydała mu się jakby nieobecna.

— Do ósmej?

— Do ósmej...

Odwróciła się pierwsza. Poszła nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 5

Tolek mieszkał z rodzicami. Ojciec —ślusarz precyzyjny, trochę trunkowy. Inwalida z czasów powojennych; wpadł na minę we Wrocławiu, kiedy przechodził przez jakieś ruiny. Dorabiał sobie do renty pracując na pół etatu. Matka — przy mężu. Była właśnie w domu.

— Pan do syna?

Kapral Świątek nie ukrywał tego. Zależało mu nawet pilnie na spotkaniu z Tolkiem.

— Nie ma go?

Kobieta odeszła na chwilę od łoskoczącej w rogu kuchni pralki.

— Nie ma, ale zaraz powinien być.

— Nadal pracuje tylko dorywczo?

Nie wyczuła w głosie milicjanta lekkiej ironii.

— Nie ma charakteru do jednej roboty. Mówi, że go nudzi. Ale niech tam, żeby tylko przynosił do domu jakiś grosz i nie szwendał się po piwiarniach.

— Pije?

Poruszyła się niespokojnie.

— Tego nie powiedziałam. Tylko czasem. Nie więcej niż ojciec — w głosie zabrzmiała nutka goryczy — może pan jednak usiądzie — zmieniła temat rozmowy — tu, przy stole.

Dzielnicowy usadowił się ostrożnie na podsuniętym krześle. Raportówkę umieścił na kolanach.

— Herbaty?

Zgodził się. Było mu trochę żal tej kobiety. Znał ją od dawna. Od czasu, kiedy sprowadzili się tu z małym jeszcze pętakiem, Tolkiem.

Kiedy dopił do połowy herbatę, pojawił się młody człowiek. — A. to pan...

Jego mina nie wyrażała jednak zadowolenia.

— Siadaj.

Przysunął krzesło, ale nie usiadł na nim, stał oparty rękami o jego poręcz. Patrzył czujnie.

— Znasz Karolaka?

Zna. Od dawna. Jeszcze z ławy szkolnej. Razem zbijali bąki...

— A teraz?

Nie puścił dłoni z poręczy krzesła.

— Teraz rzadko się spotykamy. On ma swoje interesy, ja swoje.

— Nie mówmy o interesach, tylko o życiu towarzyskim. Gdzieście ostatnio spędzili wspólnie wieczór?

Otarł powoli wierzchem dłoni spuchnięte usta. Uśmiechnął się krzywo.

— O co panu chodzi?

Kapral spojrzał na niego spod oka.

— Wiesz dobrze, o co chodzi. Byliście u Żarskiego. Michała Żarskiego. Wdowca.

— A?!

— Jesteś w domu? Skinął głową. Jest.

— Ale po to tylko pan się do mnie fatygował?

— Nie tylko. Żarskiemu zwędzono obrączkę i pieniądze. Twierdzi, że zrobił to Karolak. Ale ty też tam byłeś...

— I zaraz spłynąłem. Po dwóch kieliszkach. Jeśli zaś chodzi o obrączkę...

— To co?

Tolek zatarł nerwowo ręce.

— Mirek ją wziął... Sam widziałem. Potoczyła się po podłodze, podniósł ją więc, obejrzał i włożył do kieszeni.

— A pieniądze?

— Nie wiem. Mógł też wziąć... Ile tego było?

— Prawie dwadzieścia tysięcy. y Tolek pokiwał głową.

— Dużo. Trzeba na to pracować dobre pół roku...

Milicjant otworzył raportówkę, wyjął notes.

— Nie wiesz, gdzie teraz ten magik się podziewa?

Tolek zamyślił się.

— Skąd mogę wiedzieć... Tu nie miał wielu kumpli, a jeśli miał, siedzą w kiciu — przerwał na chwilę — może gdzie indziej...

— Gdzie?

Wyglądał na człowieka, którego pamięć mocno szwankuje.

— Tu i ówdzie — powiedział bez złośliwości, ale zabrzmiało to cynicznie. Dzielnicowy zacisnął zęby.

— No, no...

— Tak tylko mówię... Sam nic wiem. Pamiętam, że kiedyś wspominał o kimś mieszkającym na wybrzeżu. Koło Szczecina. Chyba w Międzyzdrojach. Dziewczyna. Poznał ją w dawnych dobrych czasach. Czuł miętę. Mówił, że się kiedyś tam wybierze.

— I nic więcej?

— Nic. Żadnego adresu. Tylko imię — chyba Marysia.

Kapral odnotował to wszystko skrupulatnie. Tego gagatka nie można tak puścić samopas. Recydywi-
sta. Dziś podebrał komuś obrączkę i parę tysięcy, a jutro gotów sięgnąć po łom...

Zrelacjonował rozmowę komendantowi. Skonfrontowano te dane z kasjerami na dworcach: kolejowym i autobusowym. W natłoku podróżnych, z których co trzeci gnał w tej spiekocie nad morze, nie potrafili precyzyjnie określić, czy i kiedy sprzedali bilet do Międzyzdrojów „takiemu szczupłemu chłopakowi z czupryną na jeża”.

Mimo to wysłano telefonogram do Międzyzdrojów w sprawie przebywającego tam Mirosława Karolaka, lat dwadzieścia dwa, szczupłej budowy ciała, bez znaków szczególnych...

ROZDZIAŁ 6

Znowu spędzili szaleńczy wieczór. Tym razem w piwnicy „Piekielka”. Maryla była jeszcze bardziej rozmarzona, piła też dużo. Poprosiła o coś słodkiego, a potem miała ochotę na szampan.

Stropił się trochę. W tym lokalu kosztował on dużo. Czy starczy mu na te ekstrawagancje gotówki? Dziewczyna już jednak zdążyła zamówić u przechodzącej kelnerki szampana. . Przy płaceniu rachunku okazało się, że po ostatnim wyjętym banknocie w portfelu zaświeciło dno. Obeszło się więc tym razem bez zwyczajowego napiwku dla obsługującej. Ta wydeła wargi, Maryla zaś spąsowiała. Pociągnęła Mirka za rękę gwałtownie do wyjścia.

— Jak mogłeś?! Nie zrozumiał.

— To moja koleżanka! Co sobie o mnie pomyśli. Żaden inny chłopiec nie zrobił mi takiego afrontu... Jesteś sknera!

Oswobodził gniewnie swoją rękę z jej dłoni.

— Szczególnie ten w teksasowym ubranku! — wybuchnął — Jego stać nie tylko na dobre napiwki, ale i może własny wóz?!

Nie zareagowała. Szła chmurna i nadąsana. Przy swoim domu jednak nie wytrzymała.

— A żebyś wiedział! Jego stać na wszystko. I dzisiaj tylko to się liczy! Nie będę dziadowała!

Zacisnął pięści... Podeszedł do niej bliżej. Już się jednak wykręciła na pięcie. Nawet nic powiedziała: do widzenia. Sta! chwilę jak ogłuszony. Na kwaterze znalazł się po godzinie półprzytomnego łożenia pc-miasteczku. Nic czuł nawet chłodu sierpniowej nocy. Drzwi wejściowe zastał zamknięte. Gospodyni obudzona ze snu przyczłapała gniewnie. Mruknęła coś, że nad morze przyjeżdża się na odpoczynek, a nie na nocne hulanki. Nie odezwał się jednak ani słowem — tak jak stał rzucił się na łóżko.

Rano skierował pierwsze kroki w stronę urzędu pocztowego. Zamówił rozmowę „R” z instytucją, w której pracowała matka. Na szczęście była blisko telefonu i podniosła słuchawkę natychmiast. Szeptem zgodziła się na przyjęcie rozmowy.

— To ty?

Zapytał krótko, co słyhać. Rozpląkała się niespodziewanie i to go wprawiło w zły humor.

— Co się stało?

— Szukają cię. Tolek zwałił całą winę na ciebie. Po coś to zrobi!?

Był wściekły. Na Tolka, że go zdradził, na matkę za jej ciągle szloch, na dziewczynę, która widzi tylko nabitą kieszeń, i w ogóle na cały świat.

— Wiedzą, gdzie jestem?

Długą chwilę milczała. Czuł, że stara się opanować wzruszenie. Wreszcie wyjąkała, że nikt jej o tym nie informował, ale jak zna Tolka...

Zaklął. Ten pętak wiedział o jego kontaktach z Marylą. Po co mu się kiedyś z tego zwierzał. Uspokoił matkę zdawkowymi słowami i odłożył słuchawkę. Wpadł. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Został na lodzie. Bez pieniędzy i czyjejkolwiek pomocy. Sam w zapelnionym tłumami miasteczku...

Wrócił na ulicę Książąt Pomorskich. Miał przed sobą tylko jeszcze jedną opłaconą noc. A potem?

*

Na posterunek MO w Międzyzdrojach telefonogram przesłano pod wieczór. Mirosław Karolak z Torunia! Może i jest?... Jeden z czterdziestu tysięcy odpoczywających aktualnie w tym wczasowisku. Bagatel! Domy wczasowe jednak odpadały, w nich nie mógł spędzić urlopu. Urlopu? To przecież recydywista, na pewno nie podjął jeszcze żadnej pracy... A więc zostały kwatery. Postanowili od rana sprawdzić wszystkie meldunki. Jeśli jest, złapią ptaszka...

ROZDZIAŁ 7

Już po raz drugi pukał do drzwi mieszkania Maryli. Matka znowu otworzyła je, sarknęła:

— Pan chyba musi mieć dużo czasu — a potem powiedziała krótko. — Córka wyszła i nie wróci.

— W ogóle? — zdumiał się.

Podparła się pod boki. Ten gest pozostał jej jeszcze z czasów, kiedy królowała na podwórzu pełnym domowego ptactwa.

— Ja tam nie wiem Pan jednak nie ma po co przychodzić. Jest jakiś drugi, szykowniejszy.

Zmierzyła go wzrokiem, pogardliwie patrząc na jego postrzępione dzinsy i nie praną koszulę.

Przełknął z trudem ślinę. Te zimne napoje nie wyszły mu na zdrowie — czuł drapanie w gardle.

—?Niech pani powie córce...

Nasrożyła się.

— Nic nie powiem! Nie mam interesu. A poza tym, to już dorosła dziewczyna. Wie dobrze, co robi.

Trzasnęła drzwiami. Pozostał za nimi ze wzrokiem wbitym w świeżo pomalowane deski. Odwrócił się powoli.

Cholera! Miał płótno w kieszeni i tylko jedną spokojną noc przed sobą. Spokojną? Na jakikolwiek posiłek nie miał już co liczyć,

Kiedy znalazł się w pokoju, jeszcze raz przetrząsnął wszystkie swoje rzeczy. Zebrał trochę bilonu. W sumie trzy złote. Starczy na jutrzejszą herbatę. Gospodyni zapewne już nie zechce mu podać kawy. A potem?

Wlepił wzrok w sufit. Wpakował się w kabałę. Po kiego diabła poszedł do tego starego, pijanego ramola, a potem zląkomił się na tę obrączkę?

Odkaszlnął, napił się wody z kranu. Przypadek. Tak jak i wtedy... Żeby nie pociągnęli go tamci, całą ferajną, do tego ciemnego parku... Niczego jednak w końcu nie żałował. Było, przeszło. Pozostał dzisiejszy dzień. I Maryla. Jej twarz ciągle jeszcze jawiła mu się przed oczami. Była jego pierwszą dziewczyną, myślał o niej dużo, również tam, w celi. I jak się to w końcu skończyło?

Przewrócił się na bok. Trzeba coś zrobić. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tylko co? Przypomniał sobie tę kartkę. Była jeszcze bardziej zmiętoszona i wyblakła. Nazwisko jednak zapamiętał. I adres też. Jeśli Czesiek nie kłamał... Czemu jednak miał kłamać, namawiał go przecież na ten skok...

Zacisnął kartkę w dłoni Do jutra.

ROZDZIAŁ 8

Około jedenastej ustalono, że „jakiś Karolak mieszka od trzech dni u starej Majerowej”. Poszedł tam sierzant Kmieć. Ulica Książąt Pomorskich, parter, budynek w głębi ogrodu.

Domek był jednak pusty. Sierżant był cierpliwy, zaczekał. Gospodyni przyszła z koszem pełnym zieleniny i ziemniaków. Rozjaśniła się na widok milicjanta. Zawsze trzeba być w dobrych stosunkach z władzą.

— Pan do mnie?

— I tak, i nie — odpowiedział dyplomatycznie sierżant.

Zaniepokoiła się trochę.

— Żartuje pan sobie ze starej kobiety.

— Wcale nie starej — odpowiedział z galanterią i zapytał. — Czy u pani mieszka niejaki Karolak Mirosław?

Oparła się o framugę drzwi.

— Mieszkał — powiedziała dobitnie — do dzisiejszego ranka.

— Już go nie ma? — stropił się trochę.

— Przeskrobał coś? — zainteresowała się. Kiwnął niechętnie głową.

— Chyba tak, jeśli go szukają aż w Toruniu. Kiedy wyjechał?

— O ósmej. U mnie doba trwa od rana do rana. Wziął torbę i poszedł — odpowiedziała rzeczowo.

— Nie sprawiał wrażenia niespokojnego?

— Nie.

— Spotykał się z kimś?

Nie wiedziała. Wychodził z domu i wracał wieczorem. Niekiedy bardzo późno.

Poprosił, żeby mu pokazała jego pokój. Było w nim łóżko, dwa krzesła, szafa — i żadnego śladu po obecności Karolaka. Nawet skrawka papierka.

Gospodyni oczywiście nie wiedziała, gdzie jej gość się ulotnił. Nie zamienił z nią na odchodne ani słowa. Poza „do widzenia”.

— Ale chyba już go więcej nie zobaczę... — powiedziała do sierżanta.

ROZDZIAŁ 9

Karolak znowu zdecydował się na autostop. Razem z kilkunastoma takimi jak i on amatorami darmowej przejażdżki rozstawionymi na kilkuset metrach szosy. Nic więc dziwnego, że czekał dość długo. Wreszcie jednak udało mu się „swój” samochód zatrzymać — volkswagen z rejestracją poznańską.

— Dokąd?

Kierowca był sam. Rudy. Młody. W stronę Bydgoszczy.

— Podwożę do Poznania.

Zgodził się. Dobrze i to. Jechali kilka godzin. Na prostej młody kierowca gnał stowudziestką. Za Starogardem Karolak zdrzemnął się. Spał chyba długo, bo ocknął się kiedy wjeżdżali do Poznania. Właściciel „garbusa” wysadził go koło dworca głównego.

— Trafi pan stąd do domu?

Odpowiedział niechętnie, że chyba tak. Wsiądzie w końcu do któregoś pociągu... Zresztą rozważał nawet taką ewentualność. Pojechać na gapę? Wiedział jednak, że to za duże ryzyko. Podjechał tramwajem na przedmieście, a potem piechotą powędrował za rogatki. Szosa była jednak pusta. Kiedy przeszedł kilka kilometrów, spostrzegł, co było tego przyczyną; spory odcinek drogi remontowano i samochody kierowały się na objazd jeszcze w granicach Poznania.

Czuł coraz większą czczość. Powinien coś zjeść. Rozejrzał się wokoło. O kilkadziesiąt metrów od szosy kryła się w wiśniowym sadzie jakaś zagroda. Skierował tam bez namysłu swe kroki.

W mieszkaniu zastał młodą dziewczynę i jej młodszego brata. Jedli właśnie z ustawionej na stole kuchennym sporej miski. Nawet się do niego nie odwrócili. Widocznie sądzili, że to ktoś ze swoich. Chrząknął. Wówczas dziewczyna odwróciła z wolna białą twarz popstrzoną piegami. Przestraszyła się trochę. Nic musiał wyglądać sympatycznie.

— Można?

Skinęła głową. Brat patrząc na niego podszedł do stołu i zagarnął garść owoców. Dziewczyna podsunęła mu bliżej wazę. Jadł zachłannie, nie wypluwając pestek.

— Rodziców nie ma? Dziewczyna odzyskała głos.

— W polu. Żniwa. My tylko tak na chwilę, zaraz też tam idziemy...

Nasycił pierwszy głód, ugasił pragnienie. Jeszcze czuł cierpki smak soku spływającego do gardła.

— Zjadłbym coś.

Dziewczyna przyjęła jego życzenie bez zdziwienia. Sięgnęła po chleb do szafki, wyjęła mleko. Pił je chciwie pogryzając dużymi kęsami chleba.

Dopiero wtedy rozejrzał się po izbie. Była ciemna, trochę okopcona, w piecu buzował ogień. Bulgotał tam na fajerkach obiad.

— Zupa?

— Ale jeszcze nie gotowa. Dopiero postawiłam na ogniu. Już muszę iść...

Ponagliła go do wyjścia.

A gdyby zajrzeć tak w głąb mieszkania? — pomyślał. — Wstał nawet, zakolysał się na nogach, ale w końcu zrezygnował z tego zamysłu. Wziął tylko na drogę kolejną porcję chleba. Rodzeństwo odprowadziło go spojrzeniem pełnym niepokoju.

Po półgodzinie minął zapórę drogową, kończył się już remontowany odcinek szosy. Do ruchliwej jej części dotarł po następnym kilometrze. Był jednym z niewielu amatorów autostopu. Wzięła go też już trzecia z kolei furgonetka jadąca do Bydgoszczy. Kierowca nic był gadatliwy i to odpowiadało mu bardzo — nic miał ochoty na rozmowę.

Do miasta przyjechali o zmierzchu. Sina mgielka wisiała nad dachami. W śródmieściu turkotały tramwaje. Podszedł do saturatora i za wygrzebaną gdzieś z dna kieszeni pięćdziesięciogroszówkę napił się wody. Zapytał o ulicę Jodłową.

Skierowano go na nowe osiedle. Dojechał tam tramwajem. Wysokie standardowe domy płachty zieleni, wiele młodych rachitycznych drzewek, które nie wiedzieć czemu już roniły jesienne liście. Zaszeleściły mu pod nogami, kiedy poszedł na ukos przez wielki park.

Dotarł więc aż tu. Usiadł zmęczony na najbliższej ławce. Poczł wieczorny chłód. Jeszcze raz sięgnął po zabrudzony karteluszek. Adres był dokładny. Jak się tam jednak dostać? Przez drzwi, przez okno? Jeśli ta staruszka mieszka na parterze...

Zaraz pomyślał też o łupach. Najlepsze byłyby pieniądze. Dziesięć tysięcy, dwadzieścia, a może sto?

Poczł się nieswojo. Nigdy takiej sumy nic miał jeszcze w ręce. Co by z nią zrobił? Przypomniał sobie Międzyzdroje, faceta w teksasach, jaskrawo oświetlone lokale... Już wiedziałby, co robić.

A jeśli nie znajdzie tam spodziewanej gotówki? Co może zabrać? Futro, brylanty, radio... *

Odetchnął głębiej. Nie chciało mu się już w ogóle myśleć. Wiedział tylko, że pójdzie tam, obrobi mieszkanie. To jego jedyna szansa. Bez pieniędzy długo stę nic będzie włączył. A w domu? Tam już na niego czekają, za głupią obrączkę, której zresztą również nie ma. Rozpłynęła się w paru obiadach, noclegach, piwach. I w butelce szampana — przypomniał sobie z pewną goryczą.

W końcu to przez tę butelkę doszło do rozdźwięku między nim a Marylą. Śmierzący szmal!

Dźwignął się ciężko z ławki. Pożałował teraz trochę, że nie poszedł wówczas na wyprawę wspólnie z Cześkiem. Razem łatwiej by im poszło. No, ale i łup byłby inny. Do podziału na dwie części. Zresztą nie wiadomo nawet, jaki łup.

Osiedle było słabo oświetlone. Błady blask lalami wałczył z cieniami zachodu. Słońce schowało się za domami dopiero pół godziny temu. ; Powąłęsał się jeszcze trochę uliczkami dzielnicy. Były ciche, nawet nie rozbudzone głosami dzieci. Widocznie tutejsi szli spać z kurami A może przysiedli przy swoich telewizorach. Złapał się na tym, że nie pamięta, który to dzień tygodnia. Środa czy czwartek? Jeśli czwartek, wyświetlają na pewno „Kobry”. A wtedy ulice pustoszeją.. Mimowolnie przysunął się do okna któregoś z mieszkań. Kojak! Ten łysy porucznik z lizakiem w gębie. Ze też musi go ciągle oblizywać...

Widział go zresztą tylko raz. Po powrocie z mamra. Owszem, podobała mu się akcja, chociaż trochę taka naciągana.

Trafił wreszcie na tabliczkę z nazwą ulicy. Świerkowa - ? przeczytał. A więc Jodłowa musi być w pobliżu. Tak jakoś się składa, że jeśli jedna ulica nazywa się „od drzewa”, to i następne również podobnie będą się nazywać... Przypomniał sobie, że kiedyś we Wrocławiu trafił na całe kolonie domków, które ciągnęły się przy ulicach: Jaszczurczej, Gadziej, Wężowej... Brakowało, tylko ulicy „Kobry”.

Znowu posłyszał jazgot broni maszynowej dochodzący z pobliskiego otwartego okna i krótkie gardłowe okrzyki policjantów. A jeśli i ta stara siedzi przy rozkrzyczanym telewizorze i przy otwartym oknie?

Skręcił w prawo. Klonowa. Do licha! Czas już na tą Jodłową. Mrok był coraz gęstszy. Przeszedł szybko tę uliczkę, zagapił się na narożnik. Jest! Trafił. Jodłowa. Miała ze sto metrów długości. Uliczka piętro- wych domków jednorodzinnych. Żadnych wieżowców. A więc stąd zaczynało się dopiero osiedle. Na chod-

nikach żywej duszy. To i dobrze. Przemknął obok jednej posesji, drugiej. Gdzież ten numer! Brama rozdzielająca dwa domy. Ogródek. W głębi willa. Takie pudełko z klocków. Światło na pierwszym piętrze. Pchnął ostrożnie furtkę. Nic skrzypnęła. Nic zaszczekał też pies. A więc nie ma żadnego Burka. To i dobrze...

Telewizor? Zadarł głowę, stanął już przy ścianie. Gra. I to jak! Na cały regulator. Właścicielka jest chyba trochę przygłucha. A może nawet nie trochę... Wejść drzwiami? Potem zawsze można się wycofać. Odpowiedzieć z głupia frant, że pomylił numery. Jeśli wejdzie przez okno, baba może z miejsca narobić rabanu. A jeśli tak się stanic? Rozejrzył się za czymś twardym. W końcu trzeba dbać o własną skórę. Znalazł gdzieś kij służący do podtrzymywania pomidorowego krzaka. Ujął go w spoconą dłoń. podszedł pod drzwi. Nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte!

Obejrzał się za siebie. Ciemno. Tylko refleks światła na chodniku od dalekiej latarni. Pchnął drzwi ostrożnie. Mrok. Głosy z telewizora uderzyły go ze zdwojoną siłą. Isć dalej? Nie miał już wyboru. Teraz albo wcale... Posunął się o krok.

Chodnik stłumił stuk butów. Telewizor nagle zamilkł. Wstrzymał oddech. Jeszcze jeden krok.

Znów usłyszał gardłowe krzyki. Ostry trzask strzału. Jeden, drugi. Włączył się lektor. „Zatrzymać ich.!” Drgnę?. Pochylił się ku jasno oświetlonej szczelinie drzwi. Blask ekranu telewizora raził oczy. Po chwili dopiero wyraźniej zobaczył kontury mebli, stół, kredens, krzesła, fotel...

W fotelu ktoś siedział z głową trochę przechyloną na bok oglądając w napięciu film.

Cofnął się o krok. Co robić? Spróbować przemknąć się do następnego pokoju? Jego okna musiały wychodzić na podwórze, jeśli ta siara drgnie, coś posłyszysz, zdoła chyba w porę przeskoczyć parapet?...

Przypomniał sobie w tym momencie jakiś dawno oglądany film. komedię, w której ktoś taki jak on właśnie włamuje się do domu w czasie interesującej transmisji telewizyjnej. I uchodzi z łupem przez nikogo nic zauważony. Zresztą kogo (się ma bać, starej kobiety?)

Począł na jeszcze głośniejszy jazgot telewizora, po czym otworzył ostrożnie drzwi do pokoju. Kobieta ani drgnęła. Bezszelestnie, na palcach przeszedł pod ścianą do następnego pokoju, do którego drzwi były tylko półprzymknięte. Wśliznął się tam bokiem. Sypialnia. Szerokie łóżko, dywan. Blask latarni przeciął pomieszczenie na dwie nieregularne potowy. Szafa. Była otwarta. Podszedł bliżej. Za plecami słyszał ciągle ostry głos Kojaka. Bielizna zwalona u podnóża szafy. Sięgnął na półkę. Pusta. Otworzył drzwiczki, za którymi miała znajdować się garderoba. Nic. Kilka szmatek. Do cholery! To niemożliwe! Rozejrzył się bezradnie po sypialni. Teraz dopiero spostrzegł, że również bielizna pościelowa jest skłębiona. Jakby kłós był tu przed nim i też szperał gorączkowo w poszukiwaniu łupu... — Stać, bo strzelam!

Odwrócił się gwałtownie. To ciągle ten porucznik z coltem w ręce...

Otworzył ostrożnie drzwi do pokoju z telewizorem. Kij trzymał w pogotowiu. Stara ciągle tkwiła w swoim fotelu. Obojętna, nieporuszona. Aż tak ją zafascynował ten Kojak? Starą kobietę? Stanął prawie nad nią. Czuł boleśnie bicie własnego serca. Pochylił się trzymając ciągle swoją drewnianą broń w pogotowiu i zastygł z wrażenia. Skurcz zdławił go za gardło.

Jeszcze nie wierzył swoim oczom, dotknął ramienia starej. Nie było wątpliwości. Nie żyła. Widok martwej kobiety wstrząsnął go.

Z trudem opanował przerażenie. Wpakował się w kabałę! Sam na sam z trupem. Tu w tym pokoju z wrzeszczącym telewizorem... Co robić?

Gdzieś stuknęły drzwi Znieruchomiał. Ktoś coś powiedział. Obok. Przeszli klatką schodową. Mężczyzna i kobieta.

Do diabła! Jak z tego wyjść? Spojrzał na swoje ręce. Miał lepkie od potu palce. Wszedł tak na palę! Bez rękawiczek. Skąd je jednak miał mieć w środku lata. Ten pomysł naszedł go nagle, tam, w Międzyzdrojach, kiedy już nie miał nawet na szklanekę wody... Zresztą myślał, że wszystko obędzie się bez komplikacji...

A teraz... Stał tuż, przy trupie starej kobiety i czuł mrowie w krzyżach. Sięgnął po jakąś chustkę przewieszoną przez krzesło, otarł dłonie. Wytarł klamki. Zaczął wycofywać się do drzwi. Przedpokój, drugie drzwi i znalazł się wreszcie na klatce schodowej. Telewizor znowu umilkł. Cicho. Gdzieś w górze usłyszał głosy. Uciec jak najprędzej!

Dopadł wyjścia. Trzaśnięcie drzwiami. Już nic panował nad sobą. Kilka olbrzymich susów. Kurtka. Wreszcie ulica. Była cicha, tak jak poprzednio, zanim wszedł do mieszkania tej starej. Potrzebne mu to było!

Odkoczył. Taksówka, która nagle przystanąła przy nim, miała chyba rozregulowane hamulce. Biegł przed siebie, ale był ciągle jeszcze na tym osiedlu, w obcym mieście... Bez grosza w kieszeni. Nie miał tu już jednak nic do roboty. Należało zwiewać. Jak najdalej. Tamta kobieta przecież tkwi w fotelu... Martwa...

ROZDZIAŁ 10

Program telewizyjny tego dnia był długi, do dwudziestej trzeciej. Któryś z lokatorów zastukał mocno do drzwi właścicielki ryczącego na cały regulator telewizora. Na próżno jednak. Jakby była głucha. Ale tak nic było. Przecież ją dobrze znali.

Rano rozległ się krzykliwy głos spikera prowadzącego program szkolny. Po południu zaś głośno nastawiony telewizor znowu zaczął dawać się we znaki lokatorom.

Ta ma zdrowie — pomyślał sąsiad zza ściany, i postanowił kobietę poprosić, żeby ściszyła telewizor. Zdecydował się więc zapukać do mieszkania. Chyba jednak niezbyt głośno pukał, skoro stara nie zareagowała. Nacisnął więc klamkę. Drzwi były otwarte. Miał przed sobą przedpokój zastawiony trzema starymi szafami. Dalej matowe szkło drzwi wiodących do pokoju, dywan w zielone esy-floresy.

— Proszę pani...

Słowa uwięzły mu w gardle. Kobieta ani drgnęła, jej biała twarz wyglądała jak gipsowa maska.

Nawet do niej się nie zbliżył. Krzyknął. Głos miał tubalny. Spłoszył nim kilka ciekawskich sąsiadek warujących u drzwi...

Milicja przyjechała po dziesięciu minutach: ociężyły major w opiętym mundurze i młodziak z trzema gwiazdkami, a także technicy dochodzeniowi, lekarz.

Oficerowie rozejrzeli się uważnie po mieszkaniu, porucznik popatrzył na twarz zmarłej, jakby zainteresował go jej profil, ostry jak u drapieżnego ptaka.

Lekarz już dokonał oględzin ofiary zbrodni.

— Sądzę, że zmarła z przestrawu. Musiała mieć bardzo słabe serce... — pokiwał smutno głową. — Resztę wykaże sekcja. Chyba się zbyt nie myślę.

— Kiedy to się stało? — zapytał porucznik. Lekarz spojrzał na niego z ukosa.

— Jeśli powiem, że dwadzieścia godzin temu, będzie pan to uważał za precyzyjne określenie czasu?

Porucznik przełknął gładko sarkazm.

— Wczoraj?

— Wczoraj.

Sprawca mógł już więc być daleko. Jeśli zaś do tego nie zostawił uchwytłych śladów...

Technicy utwierdzili go w tym przypuszczeniu. Plon ich kilkugodzinnej pracy był prawie żaden. Nie licząc gęsto rozsianych śladów linii papilarnych na meblach, oknie. Wyglądało jednak na to, że je zostawiła sama właścicielka mieszkania. Intruz, który dokonał kradzieży, operował raczej w przyległym pokoju, przy szafie wybebeszonej z całej swojej zawartości. Miał chyba czas. robił to na pewno w rękawiczkach.

Major Sieniuc wyglądał oknem na zieloną uliczkę. Jego uwagę przykuł leniwie kroczący środkiem jezdni łaciaty pies. stawiający sztywno nogi. jakby omijał z pedanterią duże kałuże. Wody jednak na asfalcie nie było.

— Mogę przeszkodzić?

To porucznik. Spojrzał na niego z roztargnieniem.

— Słucham.

— Tak mi się wydaje, że włamano się tutaj trochę „na wariata”.

— Skąd to przypuszczenie?

Porucznik jeszcze raz obejrzał wkoło mieszkanie.

— Drzwi były otwarte. Staruszka musiała siedzieć przy telewizorze.. Nie słyszała kroków przestępcy. Zaszedł ją od tyłu. W minutę później już operował przy szafie. Wyszedł tą samą drogą

— Widział go ktoś?

Potrząsnął przecząco głową. Tego nie był pewien. Sąsiedzi siedzieli przy telewizorze. Szedł wówczas „Kojak”. To włamanie trwało chyba nie dłużej niż kwadrans. Zbrodniarz mógł wyjść wkrótce przed zakończeniem" emisji odcinka serialu.

— Co skradziono?

Na odpowiedź trzeba będzie poczekać. Na pewno jakaś odzież, bieliznę, może pieniądze albo kosztowności.

Niektórzy wiedzieli, że kobieta miała trochę pieniędzy. Po zmarłym mężu.

Porucznik wzruszył ramionami. Praktycznie wiedzieli wszyscy, którzy stykali się kiedykolwiek ze Świrską. Nie robiła tajemnicy ze swoich bogactw. Zresztą nie mogła robić. Prowadziła z mężem rozrzutne

życie, ale pieniędzy jeszcze wiele zostało. Nie przepuściła ich na balach i rautach, które uwielbiała w przeszłości.

Zabierano już ciało. Cały korowód ludzi wysunął się na zewnątrz. Drzwi opieczętowano. Trzeba będzie tu jeszcze wrócić. Tak myślał major Sieniuć, tak myślał również porucznik Altar. Mieli do rozgryzienia sprawę, która zajmie im chyba kilka tygodni. Jeśli nie więcej. Dysponowali przecież diablo małą liczbą faktów.

ROZDZIAŁ 11

Ktoś dotknął jego ramienia. To nie było jednak zwykłe dotknięcie; prawie bolesny kuksaniec. Otworzył gwałtownie oczy. Słońce bijące prosto w twarz, grzało.

— Pociąg.

Spostrzegł kolesia, który wczoraj raczył go na peronie piwem. Potem miał mu w poczekalni przypilnować walizki. On! Nie miał już zaufania do siebie, ale zgodził się. Tamten długo się gdzieś szwendał. Zasnął więc, zanim się go doczekał.

— Pociąg. Mój pociąg.

Spojrzał sennym wzrokiem. To dobrze. Niech jedzie. W końcu to jego sprawa...

— Cześć.

— Cześć.

Znowu został sam. Płótno w kieszeni, zgaga w gardle. Nie jadł już chyba cały wiek. Od półtora dnia. Teraz pożarłby dwa obiady i do tego kolację... Gdyby by! w domu. Ale nic jest. I nie wiadomo kiedy będzie.

Podparł się na łokciu i poszperał w kieszeni. Teraz pożałował, że nie zajrzał do walizki tamtego. Może coś by się przydało... — Rozejrzał się leniwie. Tłum. Hałas. Obok kłóciło się zawzięcie jakieś małżeństwo.

Już chyba południe. Poznań. Odjechał więc niedaleko. Sto kilkadziesiąt kilometrów. I co ma dalej robić?

Wstał z ławki i przespacerował się na drugi kraniec poczekalni. Tablica świetlna jarzyła się cętkami nazw i liczb. Przyjazd, odjazd. Uśmiechnął się melancholijnie. Tylko odjazd... Nie czeka na nikogo. I odwrotnie.

Kraków, Warszawa, Wrocław...

Drgnął. A może Czesiek? Pozostał tylko on. Nikogo więcej nie zna. Jak Polska długa i szeroka. Nikogo, kto mógłby udzielić mu pomocy. W tej chwili.

Wyszedł przez peron do dworcowego holu, a później na ulicę. Do godziny odjazdu pociągu pozostały mu tylko trzy kwadranse. Pojedzie. Nie ma żadnego, wyboru.

ROZDZIAŁ 12

Staruszka żyła samotnie. O tym już wiedzieli. Nie była gościnna.

— Co jeszcze?

Major Sieniuc spojrział z wyrzutem na porucznika.

— Mało? To mało, że zabrał wszystko, co chciał zabrać? Złote łańcuszki, dwa zegarki starej firmy szwajcarskiej Patka, kolia z rubinami, złotą obrączkę, no i mały pakiecik dolarów... O tym skarbczyku staruszki wiedział sporo. Znalazła się dawna znajoma Świrskiej, której tamta w przystępie szczerości pokazała swoje bogactwa?"

Na dobrą sprawę major i porucznik byli już trochę zmęczeni tą ponurą historią. Zdążyła narobić wrzawy w mieście, dotąd raczej spokojnym i nie pamiętającym głośnych zbrodni. Jeden ze wścibskich dziennikarzy zjawił się nawet na miejscu zabójstwa zaraz po odjeździe ekipy milicyjnej i od podekscytowanych mieszkańców zebrał garść informacji, które odpowiednio „ozdobił”. Opinia publiczna oczekiwała więc rychłego schwytania zbrodniarza.

Tymczasem milicja miała do dyspozycji jeszcze zbyt mało danych, żeby postawić jakąś hipotezę. Sensowną. Taką, za którą mogły pójść odpowiednie działania. Teraz szukali sprawcy trochę na oślep. Przede wszystkim spenetrowano meliny, knajpy, w których gromadził się „element”

W pierwszych kilku dniach nie znaleźli nic, oczywiście nie licząc wziętych niemal za kołnierza kilku ukrywających się przed wymiarem sprawiedliwości małych złodziejasków i ich kumpli.

W końcu wiedzieli już jedno: jeśli tego morderstwa dopuścił się ktoś przypadkowy, musiał on działać wcale rozważnie; nie pozostawił bowiem na miejscu zbrodni ani jednego odcisku palca.

Działał więc w rękawiczkach albo wycierał klamki drzwi i meble, których musiał dotknąć...

Już od dłuższego czasu czuł męczącą suchość w gardle. Jak długo można wytrzymać bez kęsa w ustach? Gdyby nie to piwo w bufecie, na dworcu...

W przedziale było duszno. Pasażer siedzący obok chrapał. Inny ćmił papierosa patrząc w zadrzewiony krajobraz za oknem. Poczul mdłości. Wpadł na korytarz. I tam było ciasno. Ale wydawało mu się, że bezpieczniej. W tej cholerniej klatce przedziału nie mógł już dłużej wytrzymać. A poza tym konduktor...

Pomyślał o nim chyba w złej chwili. Właśnie wynurzył się z gęstwy pasażerów. Przedzierał się wolno, przystawał, prosił o okazywanie biletów.

Nie czekał, aż się zbliży na niebezpieczną odległość. Dał nura w ciżbę i zaczął przepychać się do przodu. Ktoś zaklął, gdy zawadził butem o jego stopę. W końcu trafił na wąski prześwit między wagonami, harmonijkę. Pociąg huczał tu najgłośniej. Mógł jednak chwilę odetchnąć przed dalszą gorączkową ucieczką. Ubikacja nie wchodziła w rachubę, gdyż znalazłby się w ten sposób w potrzasku...

Oblał go zimny pot; z przeciwnej strony szło dwóch innych kolejarzy: konduktor i kontroler. Zacisnął zęby. Postanowił nie ruszać się z miejsca. W ostateczności poda byle jakie nazwisko, wymyślony adres. Chyba go nie potraktują jak przestępcę...

— Poproszę o bilet.

Wreszcie więc dotarli do niego. Sięgnął z nonszalancką pewnością do kieszeni marynarki, udał lekki niepokój, potem zdenerwowanie. Dobrze to zagra!

— Gdzieś mi się zapodział.

— A może go w ogóle nie było? Żachnął się. Mógł sobie na to pozwolić.

— Miałem go. Jak mam panom udowodnić?

— Po prostu znaleźć bilet...

Przełknął Ślinę. O dziwo, był prawdziwie rozgoryczony. Tak jakby nietaktowne pytania kontrolera kolei dotknęły go osobiście, całkiem niewinnego.

— Tymczasem poproszę o dowód — kontroler był cierpliwy.

— Nie mam.

— Nie rozumiem.

— Czego?

— Tego że nie ma pan dowodu osobistego.

— Musiałem zostawić...

— W domu?

— W domu — zgodził się łatwo.

— Musi pan więc zapłacić za bilet. A także uiścić odpowiednią karę...

— Nie.

Spojrzeli na niego z uwagą.

— Czy to znaczy, że nie chce pan płacić? Skinął głową.

— Dlaczego?

Odpowiedział, że nie ma pieniędzy. Zostawił je wraz z portfelem w domu.

— No to będzie pan musiał z nami wysiąść na najbliższej stacji. Wytłumaczy się pan w komisariacie — powiedział kontroler.

Zbladł. Tego mu jeszcze brakowało, tak głupio wpaść... Z trudem uśmiechnął się lekceważąco.

— Jak panowie sobie życzą. Już wiedział, co zrobi...

Gdzieś trzasnęły drzwi, ktoś zawołał do kogoś po imieniu. Zazgrzytały koła. Pociąg zwalniał. Jeszcze kilometr, dwa...

—Dojeżdżamy — powiedział konduktor. Wiedział to sam. Kolejarz sięgnął do klamki. Wąska szczelina betonu. Peron. Czyjaś twarz. Jakaś walizka, ręka już uwieszona u drzwi. Jeszcze jedno drgnięcie! Rzucił się naprzód niemal szczupakiem,.

— Co pan!...

Konduktor wyskoczył, przewrócił się obok niego, ale Karolak już wstał i zaczął biec. Nie słyszał nic, żadnego krzyku. Jakiś budynek, człowiek w czerwonej czapce, kobieta umykająca do drzwi...

Za stacją była droga. Parę chałupek. Jakieś sady. Szelest liści na ramionach, zdyszany oddech, coraz cięższe nogi. Nikt go już jednak nie gonił. A może nie gonił wcale...

ROZDZIAŁ 13

Doliczyli się siedmiu nazwisk ludzi, którzy kiedyś mieli kontakty z Joanną Świrską. Major siedział rozparty za biurkiem i rysował swoim zwyczajem esy-floresy na kartce papieru.

— Spośród tych siedmiu, interesują nas szczególnie trzej — powiedział do Altara. — Andrzej Tokarczuk, Michał Sałacki i Czesław Wiza. Wszyscy trzej poznali staruszkę przypadkowo. Są młodzi, mogą więc być zdolni do wszystkiego. Rozsądek przychodzi z wiekiem...

Porucznik z udanym nabożeństwem wysłuchał kolejnej sentencji starego". Znał prawie tok jego myśli. Pozostałych czworo „odpadło w przed-biegu", bo primo: w ich liczbie były dwie kobiety; secundo: pozostali dwaj liczyli już po czterdziestce.

Westchnął.

— Tych trzech polecam twojej szczególnej uwadze. Posłuż się kimś albo zrób to sam. Nawet Jępcij, żebyś wywiad przeprowadził sam... W sytuacji, kiedy nie ma śladów pozostawionych przez przestępcę, możemy zawsze jeszcze liczyć na inny popełniony przez niego błąd...

— Sądysz, że podejrzanych trzeba szukać, właśnie wśród tych trzech?

Major skrzywił się w odpowiedzi. Już miał swoją zwykłą maskę na twarzy.

— Ktoś musiał to zrobić. Drzwi były otwarte. Staruszka siedziała w fotelu przed telewizorem i oglądała film...

— Zabójca mógł wejść właśnie wtedy podczas jakiejś głośniejszej sceny... — powiedział porucznik. — Dość stara sztuczka, mająca już swoją historię filmową. A wiesz przecież, że przestępcy, zwłaszcza ci najmniej doświadczeni, często korzystają z wzorców ekranowych. Przykładem życiowe odpowiedniki metody zaczerpniętej z wyświetlanego ongiś filmu „Rififi".

Sieniuć uśmiechnął się na to „ongiś”. Był to okres jego dojrzałej młodości.

— Drogi — major używał tego słowa w chwilach szczególnych — twój zielony. przestępca, gdyby tak wszedł do mieszkania, jak ty to widzisz, łapałby gorączkowo wszystko, co by mu tylko do ręki wpadło. Na łapu-capu. A jak było u Świrskiej? Pedantyczne poszukiwanie rzeczy cennych, bez zwracania uwagi na upływający czas. Ten człowiek czuł się jak u siebie w domu. Dlaczego?

Porucznik poruszył się niecierpliwie w krześle. Sam chciałby to wiedzieć. Po prostu musiał znać dość dobrze staruszkę.

— Właśnie. Trzeba iść tym tropem.

ROZDZIAŁ 14

Wrocław. Karolak wyskoczył z szoferki znowu trochę zbyt pośpiesznie. Nie zdążył nawet podziękować kierowcy za podwiezienie na niezbyt uczęszczanej trasie. W końcu jednak trafił do miasta nad Odrą. Poszukał gorączkowo tego zmiętego karteluszka. Nic znalazł. Na szczęście pamięta! adres. Ulica Kolejowa, boczna od Borowskiej. Numer? Za diabła go nic pamiętał...

Znalazł się we Wrocławiu w okolicy Biskupina. Przewędrował go wzdłuż i wszerz, zanim znalazł się ktoś, kto mu powiedział, że trzeba pojechać w stronę Dworca Głównego. Dojechał tam o zmroku. Borowska była długa, chwilami świecąca pustymi placami i rzędami zielonych ogródków. Gdzieś w połowie ulicy mógł już skręcić na Kolejową. Mała zygzakowata uliczka. Pięć domów na krzyż. Na szczęście. Znalazł Czesia w spisie lokatorów w trzeciej kamienicy. Mieszkał w oficynie w głębi podwórza. Jego nazwisko przypomniał sobie, sylabizując spis lokatorów wypisany nieczytelnymi kulfonami.

Parter. Oświetlone okno. Zapukał. Powtórzył stukanie jeszcze raz. Jakby dobijał się do głuchego. Wreszcie usłyszał zgrzyt klucza. Twarz w szparze wydaje mu się obca. Struchlał. Może źle trafił?

Tamten jednak uchylił lekko drzwi, warknął. Czego? I wtedy go poznał. Czesiek! Ten sam chrapliwy głos. To on!

— Nie poznajesz? Okazał rezerwę.

— Ciemno... — zamruczał w odpowiedzi.

Pchnął więc trochę brutalnie ciągle niegościnnie przymknięte drzwi. Znalazł się w pokoju. Oświetlała go tylko jedna niczym nie osłonięta żarówka.

— Nie poznajesz starego kumpla? — trącił Cześka w bok.

— Co cię przywiało? Usiądź...

Popatrzyli na siebie bez radości. Gospodarz trochę jakby zgaszony uzna! w końcu, że goście należy się jakiś serdeczniejszy gest.

_ Wypijesz coś?

Myśleli obydwaj o czymś innym — przybysz o gorącej herbacie, Czesiek o łyku czystej. Stała w końcu na wódce, bo po herbatce w tym domu pozostało tylko wspomnienie.

— No i jak żyjesz?

Gość spojrzał na niego przeciągle. O czym miał mówić? Stęknął, rozłożył szeroko ramiona. Kiepsko. Czesiek pokiwał głową.

— Dawno temu wyszedłeś?

Kiedy dokładnie już nie pamiętał, chyba już dawno. Ma jednak nowe kłopoty. Postanowił powiedzieć Cześkowi wszystko. Nie miał zresztą niczego do stracenia. A więc o obrączce, ucieczce nad morze, i potem o wyprawie do tej starej...

Czesiek sprawiał wrażenie oszołomionego. Trzasnął ją ktoś?

— Udusił. Tak myślę. Siedziała w fotelu. Zimna. Ktoś ją zaciukał z całym rozmysłem...

Gospodarz potarł nerwowo brew. Nic mógł się nadziwić.

— Taka nadziana babka...

— Znałeś ją dobrze?

Jakby zbudził się ze snu. Nie bardzo..Trochę. Kiedyś znał jej męża. Stary był trunkowy. Powiedział o sobie to i owo. Stąd zapamiętał jej nazwisko...

Mirek poczuł senność.

— Było, nie było, poszło... — wymamrotał.

Wyraził ochotę na odpoczynek. Z godzinę, dwie snu. Rozejrzał się po pokoju. Zobaczył tapczan, brudną pościel. Czesiek kiwnął ręką.

— Zaśnij. Wychodzę.

Sen nadszedł nagle jak ciepła wilgotna płachta zarzucona na głowę.

ROZDZIAŁ 15

Andrzej Tokarczuk mieszkał w Gdyni, Przy ulicy Świętojańskiej. Na co dzień urzędował w kawiarni z lustrzanymi ścianami. Miał tam swój ciepły kącik. I znajomą kelnerkę, która odwiedzała go -również w domu.

Porucznik zastał mieszkanie zamknięte, musiał więc trochę się potrudzić i odszukać Tokarczuka w „jego” kawiarni. — Pan do mnie? — zapytał Tokarczuk dopijając kawę. — Czego się mnie czepiacie? Bydgoszcz. Jodłowa? Cóż to mnie obchodzi? Czy znałem Świrską? Trochę. A wie pan skąd? Wie pan? No to co jeszcze?

Porucznik okazał niezmacony spokój, nie reagując na jego aroganckie zachowanie się. Oczywiście znał już dokładnie dossier Tokarczuka. Swego czasu miał on parę szwindli na sumieniu. Handlował dolarami i złotem. Również ze świętej pamięci starym Świrskim, mężem Joanny. Tokarczuk nawet nie drgnął, kiedy porucznik wspomniał mimochodem o śmierci Swirskiej.

— Nie żyje? — spojrzał pogodnie na Altara —. miała już swoje latka...

— Nie mówię o zgonie naturalnym. Popatrzył bez zainteresowania na porucznika.

— To znaczy, że ją ktoś zaciukał? I pan z tym do mnie? Nic z tego, mam alibi. Proszę sprawdzić.

Sprawdzanie trwało cały dzień. Okazało się pomyślne dla Tokarczuka.

Nazajutrz Altar zrelacjonował Sieniuciowi wizytę złożoną w Gdyni.

— Fiasko?

Potwierdził ruchem głowy.

— To niedobrze. Znajdujemy się ciągle w punkcie wyjścia, bo i Sałacki jest czysty jak łąza. Przedstawił niepodważalne alibi. Ale mam i dla ciebie nowinę: mamy dwóch Czesławów Wizgów...

Popatrzył ze zdumieniem na majora.

— A tak. Jeden mieszka w Szczecinie. Ustatkował się, ma żonę, dwoje dzieci. I, jak nam już wiadomo, nie był ostatnio w Bydgoszczy. Zresztą nic mógł; oddelegowano go służbowo do NRD. Drugi natomiast to zupełnie inny ptaszek...

— Bracia?

— Nawet nie krewni. Zdarza się. Wracam do wątku... Ten drugi Czesław mieszka we Wrocławiu. Niedawno wyszedł z więzienia.

— Kim był w stosunku do starej?

— Kiedyś kilkutygodniowym sublokatozem. Pożarł się ze Świrskim. Wyprowadził się. Pani Joanna darzyła go jednak nadal sympatią. Kilka razy wspominała go z łezką. Był bardzo przystojnym młodym człowiekiem...

ROZDZIAŁ 16

Ocknął się w gęstej ciemności.

—Poleż jeszcze trochę. Zaraz zaczniesz świtać.

To Czesiek. Jak mały purpurowy punkcik żarzył się jego papieros.

— Nie śpisz?

— Nic mogę. Coś mnie dusi w piersiach. Może za dużo palę?

Mirek pomyślał, że zebrało mu się na osobiste wynurzenia. Na dobrą sprawę nawet tam, w celi, nie bardzo pasowali do siebie. Trochę jak ogień i woda. Potem jednak zetknęli się podczas pierwszych dni wolności. No i ta kartka z adresem Świrskiej. Po co mi ją dał? Wzdrygnął się na wspomnienie tej stęzałej w bezruchu postaci zanurzonej w fotelu i rażącego w oczy światła telewizora...

Przypomniawszy sobie na mgnienie oka twarz swojej matki. Tak samo niemal stara... Przewrócił się na drugi bok. Było do świtu. Nie lubił bezsenności w środku nocy, w obcym pokoju, z obcym w końcu człowiekiem.

— Czesiek?

Już się nie odezwał, może zasnął? Przymknął oczy. Poczul piasek pod powiekami... Spał chyba dwie godziny. Było już jasno. Czesiek, w krótkich spodenkach, chodził po pokoju. W jego ruchach było coś z dzikiego zwierzęcia. Spojrzał na zmierzwioną głowę kamrata z więziennej celi.

— Już?

Odnosiło się to do przerwania snu.

—Już — odpowiedział tym samym słowem. Nie czuł się jednak rześko. Rozejrzał się za szklanką wody. Była. Sodowa. W syfonie zapełnionym do połowy. Bąbelki jeszcze bardziej spotęgowały ten ból w krtani...

— Chyba się przeziębilem...

Odmruknął coś. Był zajęty parzeniem herbaty. Cudem się znalazła. Mirek zwlókł się więc z tapczanu, pomaszzerował do łazienki; malutkiej ciupki z kranem i sedesem.

— Luksus! — zawołał do Cześka.

— Od ostatniego generalnego remontu. Rozejrzał się za maszynką do golenia. Swoją zgubił chyba przy ucieczce z pociągu. Sięgnął po pudełko z plastyku. Zachrobotąło. Nie była to jednak maszynka, lecz trzy złote pierścionki, zegarek ze szerniałym cyferblatem, pozbawiony jednej wskazówki, ale też złoty... Postać tak zagapiony na ów skarbczyk. Potem chciał nawet pudełko odłożyć na półeczkę pod lustrem. Nie zdążył. Odwrócił się gwałtownie. Czesiek stał przy nim ze zmienioną twarzą.

—Czego szperasz?

Nie odpowiedział. Wskazał palcem na ciemniejszy zarost na brodzie. Tamten spurpurowiał. Wyszarpnął mu z ręki pudełko. Zrobił to zbyt gwałtownie: wieko odchyliło się, zegarek trzasnął płasko o beton łazienki.

— Cholera!

Przyklęknął i zaczął zbierać osobno wskazówki, szkiełko, rozbity cyferblat. Na skroniach pulsowały mu niebezpiecznie żyłki.

Mirek nie odstąpił o krok; osuszył twarz ręcznikiem. Potem poszedł do pokoju, i wbity w krzesło czekał zasepiony na Cześka. Nawet nie spojrzął na stojący na stole kubek herbaty, żółcące się masłem skibki chleba.

Czy te przekłete złote krążki będą go prześladować do końca? Skąd je jednak Czesiek wziął? Zrobił skok? Było to do niego podobne. Wszakże kiedyś się z nim umawiał na obrobienie Świrskiej... Zastygł. Ulica Jodłowa..Hałaśliwy telewizor. Ta twarz biała, zimna jak lód...

Czesiek głośno krzątał się po łazience, wreszcie wszedł do pokoju. Był ciągle zły, ale jakby trochę odprężony. Zrobił ręką nieokreślony ruch.

— Wiesz, ma się różne interesy. Tylko niepotrzebnie trzymam to wszystko prawie na wierzchu.

Przysiad! się do niego.

— No, ale nie ma o czym gadać. Napijmy się... Sięgnął ręką za siebie. Zadźwięczało szkło. Pół litra czystej.

— Na nasze frasunki.

Uśmiechnął się krzywo. Jakby nie wierzył, że cokolwiek może na nie pomóc.

*

Czesław Wizga był jak wiatr — wszędzie go było pełno. Wypuszczony z zakładu karnego zajrzał &> Obornik koło Poznania. Miał tam bliską rodzinę ojca i matkę. Porucznik długo kluczył po uliczkach tego ładnego miasteczka. Wreszcie znalazł ulicę Wronią. Domek Wizgów tkwił pod nawisłymi gałęziami starej czereśni. Liście już na niej zaczęły żółknąć, a po soczystych owocach pozostało tylko wspomnienie.

— Pan do mnie?

Stary Wizga był przysadzisty, szeroki w ramionach i patrząc na człowieka miał zwyczaj mrużenia powiek. Nie był jednak krótkowidzem.

—Do syna - odpowiedział zgodnie z prawdą porucznik.

— Nie ma.

— Wyszedł?

— Wyjechał.

— Dokąd?

Wizga wzruszył ramionami. Patrzył ciągle spod przymkniętych powiek.

— Jest dorosły. Nie pytam go, co robi i dlaczego.

Porucznik pomyślał, że tę nieskomplikowaną, metodę niemieszania się do spraw syna musiał stary Wizga stosować również wówczas, kiedy Czesław jeszcze jako chłopiec kradł suszone śliwki na straganach i cukierki w sklepach. Obszerne akia jego sprawy z różnych epok przestępczego życia dano Al tarowi do wglądu kilka dni temu.

Porucznik zrobił ruch, jakby chciał wejść W głąb domu. Siary się połapał.

—Ależ proszę. Pan na pewno z podróży. I z milicji?

Teraz dopiero dał po sobie poznać, iż wie, z kim ma do czynienia.

Altar nie omieszkiał skorzystać z tego niechętnego zaproszenia.

W pokoju zastał matkę Czesława. Niceo sępią twarz otulała chustką po wiejsku zawiązaną na supeł pod brodą. Wyglądało na to, że bolały ją zęby...

— Stary, co to?

Jakby nie dostrzegła porucznika. Altar zrozumiał, że to ona właśnie służyła za drogowskaz, w życiu syna...

— Daj krzesło.

— Po co?

Rozzłościł się na nią nagle. Wtedy przyniosła dwa koślawe stołki z rogu pokoju. Ten dom nie był bogaty. Porucznik spostrzegł także, że panowała w nim zatęchła atmosfera wzajemnej niezyczliwości. Niemal jak w lisiej norze, do której kiedyś zajrzał...

— To co pan jeszcze chce?

Nie odpowiedział od razu. Czego chce? Stary wyraźnie udaje durnia. Przyszło mu też na myśl, że jest to tylko gra na zwłokę.

Rozsiadł się wygodnie i popatrzył na Wizgę przymrużając jak on oczy. Stary wyraźnie się zaniepokoił.

— Niech pan nie myśli, że chcę tego drania osłonić. Dość mi już zdrowia zmarnowałam...

Przerwał, bo żona poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Nie wierć się tak! — rozsierdził się nagle — ty też jesteś temu winna. Kto go chronił przede mną wówczas, kiedy jeszcze nie było za późno?! Ty! I takiego go wychowałam pod swoją kiecką...

Ponownie zwrócił się do porucznika. Był trochę spokojniejszy. I Altar po raz pierwszy poczuł, że stary na swoją twarz. Ojca, pełnego gniewu na nieprawości syna.

— Tyle mogę panu powiedzieć, co wiem. Czesiek wrócił z więzienia do nas. Był jednak tylko kilku dni. Pojechał do Wrocławia. Ma tam swoją Małą metę. Z czego żyje? A bo ja wiem?

Porucznik wyjął notatnik, zapisał starannie adres. Kiedy wychodził, stara mruknęła coś pod nosem. Wizga odprowadził go aż do progu.

ROZDZIAŁ 17

Dawał mu się we znaki dotkliwy ból głowy. Wódka wyraźnie zaczęła mu szkodzić. Po co tyle pił?

W pokoju było już ciemno. Czyżby przespał cały dzień? Gdzie jest Czesiek? Dźwignął się ciężko od stołu. Ból rozsadał czaszkę. Piekielny ból. Zataczając się podszedł do łóżka. Zwalić się na nie, zasnąć. Och, jak cierpiał...

Usiadł i wówczas poczuł ten dziwny swąd.

Z trudem powstał na nogi. Drzwi. Kuchnia. No tak... Palniki kuchenki zamiast palić się niebieskim płomieniem syczały od uchodzącego gazu. Półprzytomny zakręcił gwałtownie kurki. Odetchnął ciężko. I wówczas chwyciły go silne torsje. Zaledwie zdążył do łazienki. Kiedy osłabiony wrócił do pokoju, czuł pot spływający mu obficie po czole i karku.

Odetchnąć świeżym powietrzem!... Dobrnął do stołu, włożył marynarkę. Rozejrzał się bezradnie wokoło: Czeška nie było. Drzwi były też zamknięte, od zewnątrz, Na klucz. Ale by go urządził!... Pomyślał o gazie, bólu głowy, potężnym pijaństwie.

Uchylił okno. Było położone nisko, półtora metra nad ziemią. Wszedł na parapet, skoczył.

Świeże powietrze dzieliło go po głowie jak obuchem. Zachłysnął się, zakrztusił. Znowu mdłości. Z zacządziałą ciężką głową poszedł przed siebie. Gdzie mógł być Czesiek? W pracy? Śmieszne. On i praca!

Szedł niemal w pełnym mroku. Rzadko rozmieszczone latarnie dawały niewiele światła.

Ktoś go minął. Obejrzał się. Tamten też.

— Mirek!

— Czesiek!

Obopólne zdziwienie. Czeška jednak jakby większe.

— Dokąd idziesz?

Odpowiedział chaotycznie o gazie, bólu głowy.

— Musiałem zapomnieć zakręcić kurki...

W głosie Czeška była skrucha. Szybko jednak przeszedł nad tym faktem do porządku dziennego.

— Nie mamy po co wracać do domu. Tamci nie próżnują...

Mirek nie zrozumiał.

— Milicja. Przecież byłeś w domu starej, widziałeś jej trupa. Mogłeś pozostawić odciski palców. •

Zaprzeczył. Wytarł je starannie. Nie powinno pozostać żadnego śladu. Poza tym jest u niego. Komu wpadnie na myśl, że tu się ukrywa. Zresztą nawet nie ma gdzie...

Czesiek zniecierpliwiał się.

— Nie gadajmy tyle... Czas nagli. Niewiele, rozumiesz...

Przyjął w pokorze te wymówki. Zawsze zresztą był taki. Bez inicjatywy. Ktoś go prowadził. Jeśli był silniejszy, szedł za nim bez wahania. A Czesiek należał do ludzi silnych. Charakternych.

Powlókł się za nim bez słowa. Na końcu ulicy był przystanek tramwajowy. Wsiedli. Dziesięć minut jazdy. Dworzec. Dokąd pojedziemy?

Czesiek zbył pytanie milczeniem. Zaraz zresztą zobaczy... Stanęli przed oświetloną kasą. Dwaj pasażerowie przed nimi. Błada twarz kasjerki z sińcami zmęczenia pod oczami.

— Szczecin. Dwa razy.

Szarpnął Czeška za rękaw. Po co aż tak daleko? Powtórzył to pytanie, gdy skierowali się na peron.

— Żeby być jak, najdalej od tego miasta... Było mu już wszystko jedno. W końcu co za różnica, gdzie znajdzie melinę, tu czy tam... Wszędzie będzie żył ze strachem w sercu. Paskudne uczucie...

Do odejścia pociągu mieli jeszcze, dziesięć minut. Aż dziesięć, i tylko dziesięć...

*

Telefonogram do komendy wrocławskiej był szybszy niż przybycie porucznika; wysłani do mieszkania Czesława Wizgi wywiadowcy wrócili z niczym; ptak wyfrunął ze swojej klatki.

— Nie był ostatnio jednak sam — relacjonowali wywiadowcy — przyjechał do niego jakiś młody człowiek. Nie rozpoznany. Jak dotąd...

— Skąd ta wiadomość?

— Od sąsiadów. Widzieli tych dżentelmenów razem. Szli pod wieczór w stronę stacji...

— A więc dali drapaką. Czyżby Wizga poczuł pismo nosem? Podejrzenia co do jego osoby wydawały się coraz bardziej uzasadnione. Cały zresztą jego życiorys potwierdzał ich słuszność.

Zakrzątnięto się więc energicznie wokół jego osoby; czy był na stacji, a jeśli tak, dokąd stamtąd zamierzał się udać?

ROZDZIAŁ 18

Znaleźli przytulny przedział. Pusty. Mirek czuł jeszcze ból głowy i ogólne oszołomienie. Usiadł na ławce i prawie zaraz zasnął. Była to jednak drzemka przerywana zwidami. Budził się z niej często. wytrzeszczał oczy w ciemnościach, trząsł się, chociaż nie było mu zimno. Jednym słowem czuł się więcej niż podle. Wreszcie obudził się na dobre. Czesiek, gdzieś znikł. Być może poszedł poszukać bufetu. Przed godziną wspominał o tym. Odkąd go znalazł, zawsze miał pieniądze. Na piwo.

Wstał z ławki, wyszedł z przedziału. Pusto. Ktoś nagle trzasnął drzwiami.

Czesiek? Poszedł w tamtą stronę. Nikogo. Tylko w harmonijce między wagonami zamajaczyła jakaś postać. Zbliżył się. Czesiek?

Tamten wyskoczył nagle. Głową naprzód. Zamach ręki. Mocny cios w klatkę piersiową. Zatonął się gwałtownie. Poczul kant ściany pod łopatką. Znowu uderzenie. Tym razem w twarz.

— Czesiek?!

Gwiazdy przed oczyma. Huczące dzwony. I jeszcze jeden cios. Wpadł z impetem na drzwi. Nie napotkał oporu. Otwarte? Strach zdławił gardło. Do diabła, otwarte! Świst powietrza. Wicher! Leci gdzieś! Myśl: wypadłem z pociągu! A potem rąbniecie całym ciałem o twardy grunt.

Myśl: byle tylko nie głową!

Nagła ciemność. I ciągle coś huczy. Obok. U góry. W głowie.

ROZDZIAŁ 19

Godzina dwudziesta pierwsza. Przed chwilą zadzwonił major Sieniuc. Zły. Ba, wściekły.

— Daliście mu uciec! — Kiedy był rozzłoszczony, zawsze przechodził na formę „wy”. Teraz było podobnie. Porucznik na szczęście zachował spokój.

— Na krótko — by! oszczędny w słowach. — Może na parę godzin.

— Wiecie chociaż, gdzie się teraz znajduje? Altar pomyślał przez chwilę, że major przecenia trochę jego możliwości. I możliwości komendy wrocławskiej. Nie mają zdolności telepatycznych. Ten, którego szukają, niewątpliwie gdzieś się pałęta i będzie to robił chyba niedługo, ale miejsca jego „postoju” nie sposób jest ustalić w ciągu kilku godzin.

Oczywiście nie wyraził głośno swoich wątpliwości. Odpowiedział natomiast:

— W przybliżeniu.

— Co to znaczy? — zahuczał w słuchawce Sieniuc.

— Chce się dostać do Szczecina.

— Jest już w pociągu?

— Jest, jeśli się nie wyśliznął przez oko naszej sieci. Mógł po prostu gdzieś wyskoczyć...

Odłożył słuchawkę. Dwudziesta pierwsza dziesiąta. Stuknięcie drzwi. Przyszedł funkcjonariusz z meldunkiem od komendanta. Nadszedł przed dwudziestą pierwszą. Znalaziono przy nasypie kolejowym ciężko rannego człowieka. Wszystko ukazuje na to, że został wyrzucony z pociągu relacji Wrocław — Szczecin.

— Z tego pociągu — podkreślił z naciskiem. Milicjant potwierdził ruchem głowy. Czy miało to jednak jakiś związek z interesującą go sprawą?

Zwrócił się do szefa służby kryminalnej. Przyjął go krępy blondyn, z maleńkimi taczkami filuternie zawijającymi się przy uszach.

— Znacie już personalia poszkodowanego?

Znali. Niejaki Mirosław Karolak. Dwa lata zakładu karnego Wyszedł parę tygodni temu. Poszukują go w miejscu zamieszkania za kradzież obrączki i parunastu tysięcy złotych. Co poza tym? Ważny szczegół...

Porucznik poprawił się na krześle. Major był jednak oszczędny w słowach.

— Miał przy sobie złotą monetę...

Altar zawisł wzrokiem na jego wargach. Jego cierpliwość została nagrodzona.

— Skradziono ją, według ustaleń Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy, u Joanny Świrskiej...

Zamiast porwać się na nogi, porucznik nagle oklapł. A co ten ma znowu za związek ze sprawą zamordowanej staruszki? Przecież szukają Wizgi.

—Będzie i o Wizdze — major był najwyraźniej zadowolony z siebie — i to on wypchnął Karolaka z pociągu...

— No, a...? — Nie dokończył pytania.

— Moneta? Karolak twierdzi, że przyklepiła mu się do ręki w mieszkaniu Wizgi. Wziął ją chyba machinalnie, wówczas, kiedy odkrył kosztowności w pudełku przechowywanym w łazience kompana...

— Co z Wizgą?

— Trwa pościg za nim.

— No tak...

*

Pociąg zwolnił bieg. Na krótko. Zabłysnęła czerwień semafora, żeby w kilka sekund potem zamienić się w zieleń.

Ta chwila wystarczyła Wizdze, otworzył drzwi wagonu, zeskoczył na stopień, wybrał sobie miejsce między torami, smyrgnął podkurczając kolana. Przewrócił się jednak, prawa noga poszła w bok, poczuł chrupnięcie w kostce. Leżał tak chwilę skrzywiony z bólu. Nie miał jednak czasu na długie roztkliwianie się nad sobą — wstał i kulejąc podążył w stronę ciemniejących budynków niedalekiej stacji. Nie zamierzał jednak do nich wchodzić. W pewnej odległości obszedł ją łukiem. Znalazł się na małej uliczce prowadzącej donikąd. Rozejrzał się bezradnie. W dole jarzyło się światłami miasteczko. Nie miał wyboru...

W tym momencie popełnił błąd, zamiast skrócić w ludną ulicę, spróbował szczęścia w małym ciemnym zaułku. Niespodziewanie wyrosli przed nim dwaj funkcjonariusze. Skoczył natychmiast w najbliższą bramę. Tupot nóg na betonowej posadzce. Jakieś drzwi. Wnęka. Przycupnął w niej. Na chwilę. Miał już milicjantów przy sobie. Zanurkował między ich ramionami. Na próżno. Już go trzymali krzepko w swoich rękach.

ROZDZIAŁ 20

— A może — popatrzył w oczy Sieniuciowi — zrobił to ktoś, inny, a na mnie zwała się całą winę. W końcu nie tylko ja znałem panią Świrską...

— Na przykład? Pomyślał chwilę.

— Miałem takiego kumpla. W więzieniu. Wyszliśmy razem z jednej celi. Chciał natychmiast „pójść w Polskę” i trochę narozrabiać. Nieopatrznie ujawniłem mu adres starej... pani Świrskiej. Może on.

— To znaczy kto?

— Taki Karolak. Mirosław. Mieszkał zresztą niedaleko, w Toruniu. I jeszcze coś...

Wyglądał na człowieka zdecydowanego w ujawnieniu całej prawdy.

— Odwiedził mnie niedawno. Był pijany. Przechwalał się złotem. Pokazywał taki mały krążek. Mone-
tę. Chyba ruską... Jeszcze sprzed pierwszej wojny.

Sieniuc patrzył na niego nieporuszony.

— I co z nim? Wzruszył ramionami.

— Był, już go nie ma. Gdzieś się chyba wybrał. Krzyżyk na drogę...

— Czy nie do Szczecina?

Drgnął, zaraz się jednak opanował.

— Może do Szczecina — odparł niefrasobliwie — nie pytałem go o to.

— Jechaliście więc tą samą drogą... Opuścił głowę. Coś przeżuwał w sobie.

— On mówił zresztą o was coś innego — ciągnął Sieniuc. — Wdział biżuterię w łazience. Przyznał się, że był w mieszkaniu Świrskiej, ale już po morderstwie. Kilka godzin po jej zgonie. Uciekł do was. Tam naj-
pierw chcieliście go otruć gazem, a potem, pod pretekstem ucieczki do Szczecina, na nową melinę, wy-
pchnęliście go z pędzącego pociągu. Na wasze nieszczęście nie zginął. Wyżył. Zeznał wszystko...

Wizga zacisnął palce u rąk. Chciał coś jeszcze powiedzieć. Podniósł gwałtownie głowę.

Sieniuc kończył.

— A ponadto źle ukryliście zrabowane rzeczy. U znanego pasera. Kilka sukien staruszki, nawet jej
pończochy. Byliście bardzo zachłanni: po co były te pończochy? Znaleźliśmy też złoto, rozbity zegarek.

Wizga milczał. Zamilkł na długo. Sieniuc przypomniał mu więc również, jak doszło do zbrodni.
Wszystkie fakty zgadzały się co do joty.

— Przyjechaliście w południe. Rzekomo zmęczeni. Staruszka przyjęła was, jak za dawnych dni.

Lubiła was. Wiedzieliście o tym dobrze. Dała wam nawet spóźnione śniadanie, Nic zdążyła umyć na-
czyń. Po południu usiadła przed telewizorem. Uwielbiała to. Wy tymczasem udaliście się na małą drzemkę,
Ale był to tylko pozór. Po półgodzinie wstaliście i w jazgocie dźwięków wydobywających się z telewizora
zaskoczyliście Świrską. Nawet nie jęknęła. Potem, już w czasie penetrowania mieszkania ten otwarty tele-
wizor dawał wam poczucie bezpieczeństwa. Wszak Świrska, trochę przygłucha, zawsze otwierała go na cały
regulator... W dwie godziny później siedzieliście już w pociągu zdążającym w stronę Wrocławia...

Wizga biały jak kreda miał minę cierpiętника. Bodaj nawet wilgotne oczy. Jakby przed chwila opo-
wiedziana historia wzruszyła go niezmiernie.

— Dodam jeszcze — powiedział spokojnie Sieniuc — że potem, po przyjeździe Karolaka wpadliście
na pomysł nie tylko pozbycia się jedyne go człowieka, który mógłby świadczyć przeciwko wam — widział
przecież zwłoki staruszki i mógł skojarzyć tę zbrodnię z wami — ale również skierowanie podejrzenia na

jego osobę. W tym celu wsunęliście mu do kieszeni złotą monetę pochodzącą ze skarbczyka wdowy po jubilerze... Zgadza się?

Nie podniósł nawet głowy. Wyraźnie cierpiał. Jakby przejął się nagle swoim losem. Chciał odejść. Sieniuc pozwolił mu. - Wstał ciężko.

W drzwiach minął go porucznik Altar.

— Przyznał się?

— Przyzna się.

Major znowu poczuł potężne zmęczenie i ani śladu ulgi. Przeklęta mordega! Porucznik zapalił papierosa.

— Karolak już dochodzi do siebie...

— Byłeś w szpitalu?

Kiwnął głową. Major zamyślił się.

— Może będzie to dla niego nauczka na całe życie. Niezależnie od sprawy z tym starym wdowcem...

— Ja mu uwierzyłem. Ten jego kumpel Tolek to dobry gagatek.

Sieniuc spojrział z zainteresowaniem na porucznika.

— Wiara góry przenosi. Może masz rację. Popracuj nad tym. Karolak, jak mi się wydaje, wart jest tego.

Altar pomyślał, że nie tylko on jest sentymentalny. Uśmiechnął się do siebie.